

„Był taki dzień, kiedy władze watykańskie od gości, które szumnie nazywają się prefekturą, powiadają: Dzisiaj będzie grupa studentów KUL-u. No, i rzeczywiście była grupa studentów, a także pracowników naukowych, którzy wracali po jakimś okresie prac na uniwersytecie mediolańskim. Wszyscy się potem bardzo dziwili, że ta grupa nie biła braw, tylko wszyscy płakali”.

Jan Paweł II, Częstochowa 1979

PL ISSN 8131-1108 Nr 1000000 81311

NR 11 (883)

31 maja 1987

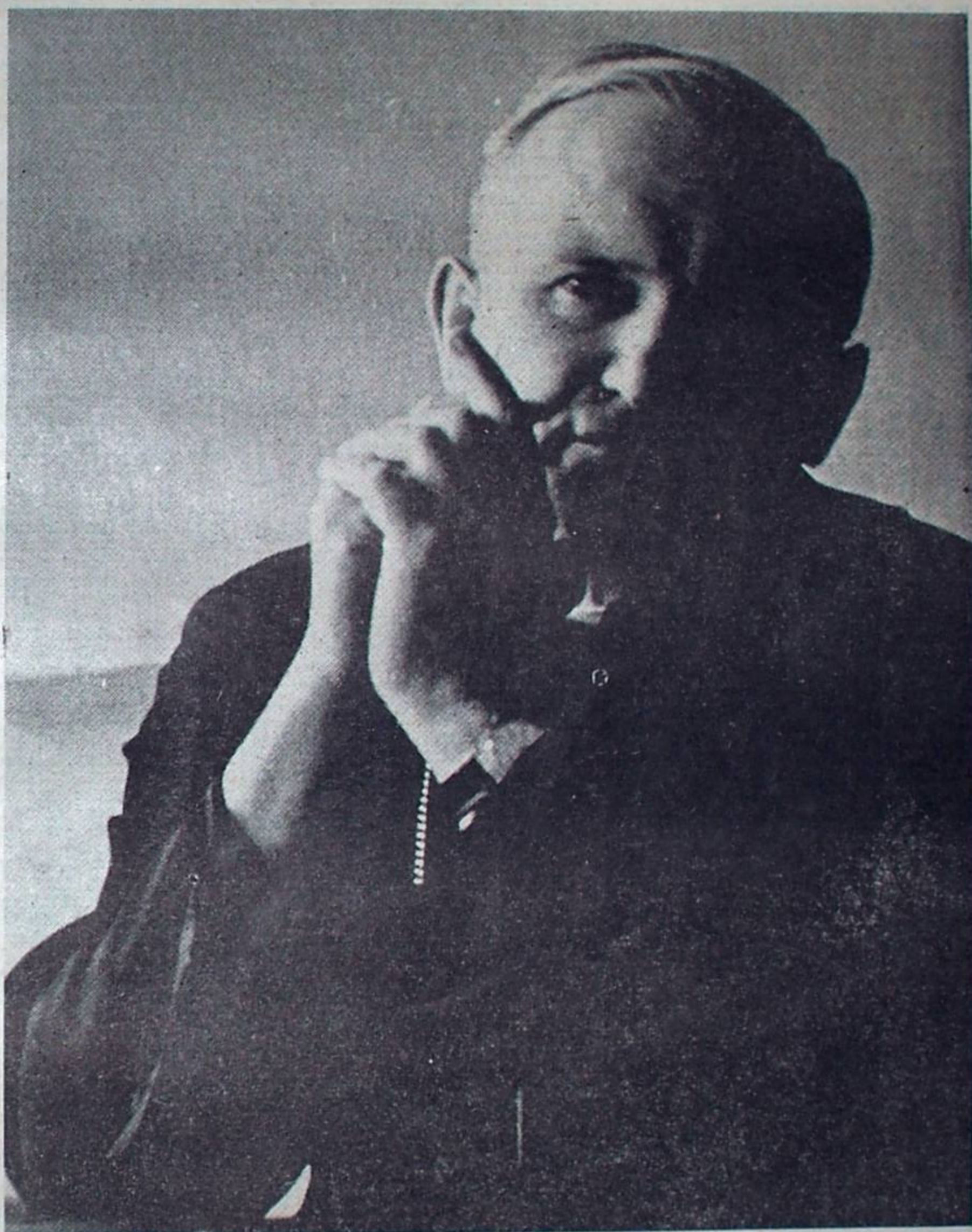
Cena 20 zł

Karola Wojtyły lubelskie drogi

O BECNOŚĆ Lublina na trasie trzeciej podróży papieża Jana Pawła II po Polsce nie jest dziełem przypadku, ani nie budzi naszego zdziwienia. Do takiej wizyty musiało po prostu dojść Drogi profesora Wojtyły wiodły przecież do naszego miasta przez dwadzieścia cztery lata. Właśnie Lublin wyznaczał jakby drugi — obok duszpasterstwa — nurt jego życiowego zaangażowania. Rosnące, w miarę pokonywania kolejnych szczebli kościelnej hierarchii obowiązki zawężyły co prawda ustawnie te lubelskie kontakty, na dobrą sprawę nie zostały one jednak nigdy zupełnie zerwane. Szesnasty października 1978 roku wyznaczył tylko odmienny ich charakter. Odtąd to lublinianie wędrowali regularnie na wzgórze Watykańskie lub do miejsc odwiedzanych przez Jana Pawła II podczas jego licznych podróży. Istotą kontaktów papieża z Lublinem, co naturalne, określały przede wszystkim związki z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim (choć miał Karol Wojtyła w naszym mieście także i inne, pozauniwersyteckie znajomości). I tak jak w Krakowie ów zadziwiający wynik październikowego konklawe zawodził nagle rzeszę bliskich i serdecznych przyjaciół kardynała, tak i na uniwersytecie odnoszą dziś wrażenie, że wszyscy go dobrze pamiętają. Naturalną w tym przypadku kolejną rzeczą papieskie ślady zyskały już tutaj rangę symbolu. Choć nie wszystkie zatem usłyszane ciekawostki muszą mieć zaraz walor autentyczny, to i tak kreują bez wątpienia obraz człowieka takim, jakim zapamiętała go społeczność.

Nie wolno było to pamiętanie i od zaskoczeń. W czasie swej pierwszej wizyty w Ojczyźnie zdumiał papież delegację uniwersytecką nieodmiennie bezpośrednim stosunkiem do niedawnych współpracowników i studentów. Na podniesione wystąpienia rektora i przedstawicieli młodzieży odpowiadał w formie żartobliwego monologu, tak przedstawiając między innymi swe pierwsze, po wyborze, kontak-

Dokończenie na str. 6



Urządów
1987

Korzenie, więzi i powroty

Marta Denys

AUTOBUS przywiózł mnie do Urzędowa. Jest pogodny poranek. Czyściutko tu jakoś, porządnie: obmiecione klomby, wybielone krawężniki U Kaczmarskich w oknie zakwitła cytryna.

Idę dalej. Bar „Uniwersalny” obleżony już przez piwoszy. Toczy się pianka i rozmowy, a w wiadrach na budowach stygnie wapno i wysycha farba. Salka obok zachęca do wypicia herbaty. Na śniadanie jest już za późno, do obiadu pan roche czasu. Mile panie z barowego okienka nie chcą

mnie wypuścić głodnej. — Może kotlety z drobiu? — proponują. — Może wątróbki?

W epoce niebywalej koniunktury na zboże, w XVII wieku, urządowanie wraz z kazimierskimi kupcami trudnił się jego fracht. Wcześniej słynęła z garniarstwa, tkactwa, warzywnictwa. Nikt już dzisiaj nie wie, kiedy ukulo się rymowane powiedzonko: „Gdyby nie ogórki, cebula i banie (dynie), umarliby z głodu urzędowanie”. W cenie były nasiona i dojrzałe plody tych warzyw. Przyje-

dano po nie z Janowa i zza Wisły. Adresy nasionarek były znane: Urzędów, ale Przedmieście Bęczyn.

W zakręt ulicy Opolskiej wpisał się młyn pana Adolfa Pomykałskiego. Drewniany, krzepki, pachnący mąką. Wodno-elektryczny. Urzędówka, rzeczka, niosła dawniej bystre wody na sześć młynów. Zostały chyba trzy, zasilane już od lat prądem. Pan Adolf ma dzisiaj 90 lat, ale młynarzuje dalej. W swoim czasie przeszedł Zrzeszeniu Prywatnych Młynów. Ma on duże zasługi dla osady: wspó-

organizował Spółdzielnię Spożywców, zakładał sklepik w rynku, budował Dom Spółdzielczy wspólnie z Wacławem Gruchalskim, Franciszkiem Barwą, Robertem Bijasiewiczem, Ignacym Pomykałskim i innymi, których tu wymienić nie sposób. Po wojnie przeszedł miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej.

Wracam do rynku. W ośrodku zdrowia mogę zmierzyć sobie ciśnienie. Czternaście lat temu kierownikiem ośrodka zdrowia w Urzędowie był dr

Dokończenie na str. 10—11

z notatnika

18 V. Artur Słupski, 18-letni uczeń trzeciej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Bodzentynie (woj. kieleckie), sterroryzował pasażerów autobusu PKS, jednemu z nich, 20-letniemu Markowi Losińskiemu, zarzucił na szyję trzy granaty, a kierowcy nakazał jechać na Dworzec Lotniczy Okęcie. Tutaj zażądał podstawienia samolotu, który „podrzuciłby” go do Monachium lub Frankfurtu. Final znany z doniesień prasowych, radiowych i telewizyjnych. Porywacza ujęto, ale jeden z granatów wybuchł. Nikt, na szczęście, nie zginął, choć Marek Losiński został ranny w czasie eksplozji. Życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo.

Reportery „Życia Warszawy” odwiedzili Rzepin, gdzie mieszka matka terrorysty, jego brat i siostra. „Gospodarza na czterech hektarach (...) Mają młyn. Na podwórku stoi traktor i nysa”.

Nauczycielka, która uczyła Artura biologii, powiedziała reporterom, że ma o nim w sumie dobre zdanie. „Ale jest w nim coś z samotnika, oraz coś, co trudno wytłumaczyć. No bo jak można zrozumieć, że kiedyś podczas zajęć przysposobienia obronnego Artur strzelił z kbks — do jaskółki. Miał dobre oko, trafiał...”

Porywacz ma lat osiemnaście, jest więc pełnoletni, stanie przed wysokim sądem, który oceni jego wyczyn. Zapewne przedtem przejdzie odpowiednie badania psychiatryczne. Oczywiście trudno mi dociekać, co tam takiemu młodemu człowiekowi snuje się po głowie, jak, choć przez moment, mógł przypuszczać, że jego plan ma szansę powodzenia. Pedagogzy z Bodzentyna będą się teraz zastanawiać nad tym dość unikalnym u nas przypadkiem i, być może, spróbują znaleźć pewne błędy w metodach swej pracy wychowawczej. Ale czy tylko oni powinni tych błędów szukać? Dla wielu młodych ludzi Zachód to synonim jednego wielkiego sklepu „Pewexu”. Marka, dolar, leży tam w ich mniemaniu na ulicy, wystarczy tylko rękę wyciągnąć i podnieść...

Teraz w Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy miałem kilka spotkań z młodzieżą. Jak jednostronne ma ona informacje, jakie potrafi zadawać nawiązane pytania, jak mało wie o współczesnym świecie!

Oczywiście dziennikarze mogą o tym współczesnym świecie bardzo mądrze i jednocześnie bardzo przystępnie pisać w gazetach, mówić w radiu i telewizji. Mogą (choć nie zawsze czynią to i mądrze i przystępnie), ale nikogo nie zmusza przecież i do czytania i do słuchania. A żeby gazetę przeczytać, trzeba ją najpierw kupić (no, czasami pożyczyć). 10 zł to niby niewiele, ale jeśli te dziesięciolotówki (niekiedy też dwunasto- i piętnastolotówki) pomnożymy przez 26 dni miesiąca...

Dziś najtańsza jest ta informacja, która dociera przez radio. Nieco droższa — informacja z TV. Najdroższa — informacja prasowa.

Biorę do ręki „Rocznik statystyczny” sprzed trzydziestu lat. W 1956 r. ga-

zeta kosztowała 20 gr. Jajko — 1,27 zł. Jajko podróżowało piętnastokrotnie. Gazeta — pięćdziesięciokrotnie. Jeszcze mamy powód do zdziwienia, że wieś tak mało czyta?

22 V. Wybory przez cierpliwość — tak określił przebieg głosowania jeden z gości walnego zebrania lubelskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Wszyscy opowiadamy się za demokracją, ale w praktyce okazuje się, że można przy niej stracić nerwy.

Służę przykładem. Ordynacja wyborcza SD PRL mówi o możliwości zgłaszania nieograniczonej liczby kandydatów do zarządu oddziału. Na liście znalazły się więc 23 osoby (znalazłyby się 30, ale siedmiu odmówiło kandydowania). 23 osoby na 11 miejsc!

A żeby być wybranym, należy zebrać połowę głosów plus jeden.

Komisja skrutacyjna przygotowuje karty z 23 nazwiskami. Minimum 12 nazwisk trzeba wykreślić, inaczej głos jest nieważny.

W pierwszym głosowaniu (tylko sześć osób te połowę głosów (plus jeden i więcej) uzyskuje).

Komisja skrutacyjna znów przystępuje do pracy przygotowując teraz karty z 17 nazwiskami. Też trzeba wykreślić 12. Po obliczeniach okazuje się, że nikt nie przeszedł!

W trzecim głosowaniu wystarcza już zwykła większość głosów.

Wszystko byłoby może w porządku gdyby w każdym spośród tych trzech głosowań uczestniczyła ta sama liczba obecnych. Nikt tu jednak nikogo do krzeseł nie przykuje, toteż co głosowanie, tym puściej na sali. Ostatecznie członkiem zarządu zostaje ten, który w pierwszym głosowaniu uzyskał 39 głosów, a przepada ten, który miał tych głosów 45. Teoretycznie poprzez cierpliwość można więc przeforsować takiego kandydata, na którym upartej grupie szczególnie zależy.

A w tym miejscu muszę dodać, że wybierano nie tylko członków zarządu, ale i członków komisji rewizyjnej sądu koleżeńskiego i delegatów na Zjazd Krajowy. Wszędzie zasady jak i kołomyjka były te same.

Pisząc o tym tak szczegółowo nie chcę powiedzieć, że ostateczne wyniki wyborów budzą moje wątpliwości. Wszystkich w zasadzie znam i cenię, chociaż uważam, że przedstawiciele dużych redakcji zbyt zdominowali lubelskie władze SD PRL. Należy więc mieć tylko nadzieję, że o potrzebach dziennikarzy z mniejszych (liczbowo, liczbowo!) redakcji też nowe władze będą pamiętać, zwłaszcza gdy przyjdzie dzielić jakieś dobra doczesne (słowa te dedykuję przede wszystkim nowemu przewodniczącemu oddziału, red. Tadeuszowi Kwaśniewskiemu ze „Sztandaru Ludu”, który zresztą już w pierwszym głosowaniu uzyskał największe poparcie kolegów, a to stanowi najlepszy dowód zaufania środowiska).

O samej dyskusji niewiele mógłbym napisać. Dominowały sprawy placowe,

bytowe, socjalne, podkreślano, że zawód dziennikarza zdewałowował się, młodzi ludzie niezbyt chętnie sięgają po pióro. Dodałbym, że kształcenie tych młodych dziennikarzy też pozostawia wiele do życzenia, ale na górze przygotowuje się pewne innowacje. Mimo wszystko wątpię jednak, by absolwent warszawskiej uczelni chętnie opuszczał stolicę, gdyby w dalszym ciągu w terenie nie miał możliwości uzyskania jako takich warunków mieszkaniowych. Władze chelmskie, jak słyszałem umiały ten problem rozwiązać ku zadowoleniu obu zainteresowanych stron. Może więc warto z tych doświadczeń skorzystać?

Rozśmieszyło mnie, gdy po raz któryś usłyszałem na zebraniu o konieczności integracji środowiska dziennikarskiego, w czym mógłby na przykład pomóc ... lokal klubowy. Do integracji nie trzeba lokal, ale dobrych chęci. Kto chce pogadać, zawsze miejsce ku temu znajdzie, nawet we własnym mieszkaniu. Każdy dziennikarz to zresztą swoista indywidualność. I tu, jak w każdym środowisku, są sympatie i antypatie, jedni się cenią i lubią, drudzy tylko cenią, ale większość chyba przede wszystkim ceni samego siebie. Od tego świat się nie zawali, nikogo więc na siłę uszczęśliwiać nie należy. Kogo życie dotąd nie nauczyło, to jeszcze będzie na to czas. Prędzej czy później każdy swoje cięgi dostanie. Od kogo — to już zupełnie inna historia.

Oczywiście zabrakło mi na tym walnym zebraniu głosów mówiących o zadaniach dziennikarzy lubelskich w obecnym, trudnym okresie. Poprzedniego dnia wygadałem się na innym forum, więc powietrze jakby ze mnie wyleciało. Zapewne goście, przedstawiciele władz poszczególnych wschodnich województw, mogli się czuć nieco zawiedzeni przebiegiem dyskusji. No, ale w takim na przykład 1980 czy 1981 roku przedstawiciele władz na zebraniach dziennikarskich (co prawda personalnie byli to inni ludzie) mogli się nasłuchać do wiatu. Dziś z wulkanu nie splywa lawa, co jednak nikogo usypiać nie powinno. Dziennikarzy również, choć głos tych ostatnich bardziej się liczy wówczas, gdy przemawia z łamów niż z trybuny. Ale i w jednym i w drugim wypadku należy coś powiedzieć od siebie, a nie przeżuwać referatową papkę. Gdy przeglądam prasę ukazującą się w naszym regionie, najpierw patrzę na podpis. Z góry wiem, że np. teksty (tu nazwiska, które w każdej chwili mogę prywatnie wyjawic) przeczytam z zainteresowaniem, a pseudopublicystykę (tu nazwiska, jak wyżej) pominię, bo tylko papier jest ciepliw. Kto wie zresztą, czy aż tak bardzo cierpliw? Może te zrywy podczas pracy maszyny rotacyjnej to nie tylko wina Skolwina czy Myszkowa?

Dobrze więc, że to powietrze ze mnie wyleciało, bo bym się jeszcze rozpędził na trybunie, inni by ripostowali i obradowalibyśmy do rana. Niczego by to nie zmieniło; życie jest brutalne, licznik wierszówki bić musi, ciągle bardziej znaczy ilość niż jakość. Na pięciu kryminałkach w rodzaju „zabili go i uciekli” więcej można forsy utłuc niż na ambitnym reportażu. I łatwiej narazić się bandzirowi, zwłaszcza, gdy jest ukryty pod inicjałami, niż... no, mniejsza z tym, komu. Nie uogólniam, ale korei mnie, aby

wprowadzić na łamy „Kamery” coś w rodzaju „lewego marginesu”, „camery obskury”, poświęconego prasie naszego regionu. Bo czyż to nie piękna lektura: „Od razu już bez żadnych skrępowań objąłem ją, już nie szukałem jej usteczek, jak magnes same się spoiły, spragnione, wilgotne. Potem te okrągłości, gole ciała, jej ciepło, nigdy już nie miałem kłopotu z figami, ubierała sukienkę, którą każdy wieczorowy podmuch unosił...”

A czy nie brzmi uroczo taki fragment: „Nijak nie da się ukryć, że Plac Wolności z jego przyległościami wygląda mało elegancko, a wręcz obskurnie. Taką opinię wyrażają miejscowi i turyści, spoglądający na odpadające tynki i liszajowate ściany niektórych budynków. Jestem pewien, że ich wrażenia estetyczne nabrałyby negatywnych cech po obejrzeniu poświerek z ulicy Moniuszki, Reformackiej, Butkiewicza czy Jatkowej. Wszędzie tam jest po prostu brudno.”

Moje wrażenia estetyczne też zaczęły nabierać negatywnych cech, usteczką jak magnes spajają się z papierosem, więc czas trochę odpuścić, zwłaszcza że przy głosowaniu nakreśliłem się dziś za wszystkie czasy. Byłbym się tylko zbytnio do tego kreślenia nie przyzwyczail, bo przy najbliższej okazji, z rozpędu...

Stop! Już i tak koleżanka B. z radia nazwała mnie (no, jeszcze nie publicznie!) rewizjonistą. I to kogo? Mnie, starego dogmatyka? A ja jestem przecież taki sam, jak w 1981 r. Może to otoczenie się zmieniło? Warto mi rzecz przemyśleć, póki nie jest za późno...

23 V. Pierwsze w dziejach PZPR plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego poświęcone roli podstawowych organizacji partyjnych w życiu gospodarczo-społecznym Polski Ludowej.

Z referatu Biura Politycznego, wygłoszonego przez Józefa Baryłę, wyciągam takie stwierdzenie:

„Odradzają się niepokojące zjawiska osłabiania więzi między komitetami a POP. Nie należą do rzadkości takie opinie członków partii: »gabinetowy styl pracy«. »POP to placówka, której się tylko zleca zadania i rozlicza z ich wykonania«. Na niewystarczającą operatywność i małą skuteczność reagowania na wnioski i postulaty POP narzeka co czwarty ankietowany i sekretarz tej organizacji.

Sekretarze POP uskarżają się także na to, że traktuje się ich w komitetach jak petentów, dla których zwykle nie ma czasu. Jedną czwartą odpowiadających na ankietę stwierdza, że nie uzyskuje od komitetu wystarczającej pomocy w rozwiązywaniu problemów swego środowiska. Tytuł też krytycznie ocenia przydatność większości narad i spotkań organizowanych przez komitety. Wyniki tej ankiety potwierdzają liczne obserwacje...”

W Dekadzie Sukcesu mawiano: „Hej, kto Polak, na bankiety”. Dziś uroczyste w poszczególnych województwach proklamujemy Dni bez Narad, ale rozporządzenia swoją szosą, a życie — swoją. Mnie tylko dziwi, jak ci ludzie (zwykle ci sami) zajmujący miejsca za prezydzialnymi stołami mogą przez tyle godzin spokojnie usiedzieć? Ponieważ zwykle wierzę się niecierpliwie nawet na najbardziej wygodnym fotelu, staram się narad unikać. Nie sądzę, abym cokolwiek tracił...

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

5 maja wystąpił w Zamościu Leszek Długosz, a 19 bm. Agata Budzyńska — laureatka Festiwalu Piosenki Miłosnej i Erotycznej.

W Muzeum im. Stanisława Staszica w Hrubieszowie do 30 czerwca czynna jest wystawa akwarel Stanisława Popka.

13 maja w Galerii Sztuki Współczesnej w Zamościu zorganizowano wystawę fotograficzną aktów autorstwa Harry Weinberga i Marka Cudowskiego.

Zespół Społecznego Ogniska Muzycznego w Świdniku zakwalifikował się do centralnych eliminacji konkursu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Zespół fuczniowie LO i Technikum Mechanicznego w Świdniku w składzie: solistka — Edyta Jurecka, Mariusz Wardziński — kontrabas, Robert Stryjecki — gitara, Dariusz Gwizda — flet prosty, Krzysztof Rostek — bębnałajka, Dariusz Tokarzewski (instruktor) — gitara, przygotował ciekawy zestaw ballad ukraińskich w oryginalnej aranżacji i instrumentacji.

1 maja w galerii Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Plastycznych w Lublinie otwarto wystawę „Wiosna '87”.

Wyprowadzając Zamojskie Lato Teatralne w Zamościu i województwie w maju wystąpiły: Teatr Powszechny z Łodzi ze „Słubami pańskimi”, krakowski

Stary Teatr z „Konopielką” wg Redlińskiego oraz „Dziekiem podszyty” na motywach „Ferdydurke” Gombrowicza, Teatr „Legenda” z Warszawy ze „Szalibierstwami karczmarza”.

Niedawno pisaliśmy o powstaniu lubelskiego Studia Teatralnego, a już od 8 maja było ono organizatorem „Majowego Przeglądu Nowego Teatru”. Wystąpiły: Teatr „Divadlo Na Provazku” (Czechosłowacja) z „Baletem Makabr” warszawska „Akademia Ruchu” (cztery spektakle), „Życie codzienne po Wielkiej Rewolucji Francuskiej”, „Kolejka, Dobranoc”, „English Lesson”, „Kartagina”, Teatr „12a” (dwa spektakle), „I. Smutny” i „Bez nieba otwartego”, „Teatr Wizji i Ruchu” pokazał „Podróż” i „Krzesanego”, Teatr „Scena 6” — „Zesłanych do raju” i „Psalm”, „Grupa Chwilowa” — „Cudowna historia”.

Do połowy czerwca w Muzeum na Zamku Lubelskim czynna jest wystawa „Lubliniana ze zbiorów Biblioteki im. H. Łopacińskiego”.

15-16 maja w Filharmonii Lubelskiej wystąpiła orkiestra PFL pod batutą Zdzisława Sładiaka. Partie solowe wykonał Kazimierz Przyłubski — baryton, śpiewak opery w Bazyli.

Staraniem Zarządu Głównego Towarzystwa im. H. Sienkiewicza w Lublinie, Zakładu Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej UMCS, Muzeum J. I. Kraszewskiego w Romanowie, Muzeum Okręgowego oraz Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Białej Podlaskiej, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Chełmie, w dniach 18-21 maja zorganizowano w Białej Podlaskiej, Romanowie i Chełmie międzynarodową sesję naukową pt. „Józef

Ignacy Kraszewski — twórczość i recepcja”. Obradom sesji towarzyszyła wystawa pt. „J. I. Kraszewski — powieściopisarz, publicysta, historyk, malarz, muzyk”.

W dniach 21-23 maja w Lublinie odbyły się „Spotkania z Bułgarią” w ramach których zorganizowano: wystawy medalierstwa „Bułgarski pejzaż” — autorstwa Rosany Paunowej Aleksandrowej i Andrzeja Nowakowskiego, „Twierdza Czerwen”, występy kapeli bułgarskiej Zespołu Pieśni i Tańca „Balkan” z sofijskiego Instytutu Technologiczno-Chemicznego, prelekcje dr. Miłczysława Buczyńskiego „Spuścizna Cyryla i Metodego”.

W dniu 19 maja w klubie „Masza” otwarto wystawę „Bohaterska obrona Twierdzy Brzeskiej”.

Od 12 maja do 30 czerwca w Muzeum Okręgowym w Białej Podlaskiej czynna jest wystawa „Lotnictwo i marynistyka w ekslibrisie” zorganizowana w oparciu o zbiory Alfreda Gaudy.

Wojewódzka Rada Współdziałania Zakładów Pracy ze Szkołami Kuratorium Oświaty i Wychowania, Komenda Chorągwi ZHP im. PKWN, Zarząd Wojewódzki ZSMP i ZMW w Lublinie w dniach 21-24 maja zorganizowały II Wojewódzki Zlot Przedników Nauki i Pracy Społecznej „Firci 87” ze szkół ponadpodstawowych woj. lubelskiego.

23 i 24 maja w hali WOSiR rozegrano XII Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzystwa o puchar prezydenta miasta.

Tegoroczne Święto Kwitnących Sądów tradycyjnie odbyło się w Józefowie n/Wiśłą w dniach 23-24 maja.

Grupa „Barak” (Barbara Barańska, Waldemar Szysz, Olga Smoczkiewicz, Joanna Brzezińska, Ireneusz Puchacz, Anna Mazur, Paweł Drodz) wystawiła swe prace w galerii „Zak” Chatka Zaka. Absolwenci Instytutu Wychowania Artystycznego w Lublinie pokazali linoryty, rysunki, akwaforty i monotypy. Wystawę zorganizował Zarząd Uczelniany ZSMP UMCS.

W Galerii Letniej w Kazimierzu zorganizowano wystawę malarstwa H. Gostyńskiego, A. Węclawskiego, C. Kielata, K. Turczyńskiego.

Muzeum im. Stanisława Staszica w Hrubieszowie zaprasza na wystawę „Stanisław Buczyński. Życie i twórczość”.

23 maja w Wojewódzkim Domu Kultury w Zamościu odbył się regionalny przegląd teatrów lajkowych. Tamże czynna jest wystawa grafik Joanny Brzezińskiej.

(kop)

Koledze Ireneuszowi J. KAMINSKIEMU serdeczne wyrazy współczucia po stracie

BRATA

składają: koleżanki i koledzy z „Kamery”

Na wschód od Bugu

Patrzeć prawdzie w oczy

TYGODNIK „Moskowskie Nowosti” opublikował (pt. „Patrzeć prawdzie w oczy — monolog historyka”) fragmenty nowej książki Aleksandra Samsonowa pt. „Pamięć przeszłości. Wydarzenia, ludzie, historia”.

Zajmując się historią ostatniej wojny — stwierdza Samsonow — w tym i najbardziej złożonymi jej aspektami, człowiek nieustannie nabiera przekonania, iż tylko uważne zgłębienie wszystkich dostępnych źródeł pozwala zrozumieć prawdziwą naturę zjawisk. Dlaczego na przykład latem 1942 roku Wehrmacht powtórnie przejął inicjatywę strategiczną na radziecko-niemieckim froncie, a jego wojska znalazły się pod Stalingradem i na Kaukazie? Dlaczego powtórzył się wtedy tragiczny odwrót naszych wojsk i zajęcie przez wroga radzieckiego terytorium? Czy można wszystko tłumaczyć wyłącznie faktem, że nasi sojusznicy nie otworzyli wówczas drugiego frontu? Przecież wiadomo, że później Armia Czerwona sama odniosła wspaniałe zwycięstwo pod Stalingradem i Kurskiem i stało się to, gdy nie było jeszcze drugiego frontu!

Fakty wymagają od historyka obiektywnej analizy. W tym miejscu trzeba koniecznie powiedzieć o negatywnej roli, jaką odegrała w omawianej wyżej sprawie nieprawidłowa ocena, dokonana przez Główną Kwaterę Dowodzenia i Sztab Generalny, niemieckich planów letniej kampanii 1942 roku.

Georgij Zukow wspomina w swych pamiętnikach posiedzenie w Głównej Kwaterze Dowodzenia 5 stycznia 1942 r. Mówiono o przejściu Armii Czerwonej do generalnej ofensywy po rozbiciu największego zgrupowania Wehrmachtu na przedpolach Moskwy. Zukow, jako jedyny, sprzeciwiał się jednoczesnej ofensywie radzieckiej we wszystkich trzech głównych kierunkach strategicznych. Powód — brak wystarczających rezerw przy takiej ofensywie. Najwyższe Dowództwo podjęło jednak decyzję — nacierać. Niewątpliwie wpływ wywarł tu również

czynnik moralno-polityczny. Początek 1942 roku był bardzo ciężki. Zwycięstwo nad wrogiem potrzebne było jak powietrze. Konieczne było umocnienie moralnego ducha narodu, pokazanie, iż po niepowodzeniach i klęskach w pierwszym okresie wojny następuje zmiana na lepsze. Jednakże celów owej generalnej ofensywy, jakimi były umocnienie zwycięstwa na przedpolach Moskwy oraz istotne zmniejszenie sytuacji na głównych kierunkach frontu, nie zdołano osiągnąć w nakreślonych rozmiarach. Zdaniem Zukowa ZSRR nie posiadał bowiem realnych sił ani środków, aby w 1942 r. rozgromić tak potężnego i doświadczanego wroga, jakim był hitlerowski Wehrmacht.

Patrzeć prawdzie w oczy, ani na krok nie odstępować od faktów — oto wymóg historii, w tym i wojennej. Ta ostatnia zawiera wiele trudnych problemów. Strach przed nimi, lęk przed dotykaniem prowadził do przemilczeń i „paplania” tam, gdzie od historyka wymaga się uczciwego przedstawienia faktów przeszłości. Nie wolno na przykład nie pisać o stratach, jakie poniosło społeczeństwo radzieckie w latach poprzedzających wojnę na skutek nieuzasadnionych represji 1937 roku, represji, które objęły również najwyższą kadre wojskowa. A my co? My nadal delikatnie mówimy w literaturze o pomyłkach w przeddzień wojny, o rozmiarach następstw tamtych wydarzeń.

Wojna ZSRR z niemieckim agresorem przyniosła stronie radzieckiej olbrzymie straty ludzkie i materialne. Winnym tych strat i cierpień był fascyzm. Jest to fakt niezaprzeczalny. Jednakże, czy aby wszystkie straty były nieuchronne? Jest to jeszcze jeden niezbadany aspekt przebiegu wojny.

Historia wojen nie zna przypadku, w którym obie wojujące ze sobą strony nie popełniały błędów, nie dokonywały mylnych kalkulacji. Ważne jest, abyśmy również i my pokazali, jak nasz kraj pokonywał trudności, jak naprawiał błędy, jak gromadził doświadczenie, zwiększające potęgę strony radzieckiej i jej sił zbrojnych.

glądy, znam ich z lat „okresu zastoju”, kiedy to dolożyli wielu starań, żeby stał się on nieodwracalnie zastojowym. Nieruchawość i petyfikacja w teorii i praktyce to ich żywioł który tak nieoczekiwanie został obecnie poruszony wiatrem jawności. Jeśli obejrzeć się i trzeźwo ocenić nasze trudności w dziedzinie przebudowy, to z pewnością okaże się, że najtrudniejsze w niej jest właśnie przezwyciężenie totalnej natury biurokracji, uporeczywie laplającej się dopracowanych do wielkiej doskonałości chwytów przeszłości, z których najważniejsze jest osławione „nie popuszczać i popędzać”. [...] Jeśli szlachetne idee przebudowy znalazły gdzieś swój najwyraźniejszy przejaw, to tylko w burzliwie rozwijającej się jawności. Nasze dziennikarstwo nieoczekiwanie i z samozaparciem wysunęło się na czoło jawności i odkryło tyle troskliwie wypielęgnowanych przez biurokrację wrzodów społecznych, rozpełtało taką walkę o prawdę i sprawiedliwość, że jeśli nawet nie zrobi już nic więcej, to pozostawi po sobie ślad na dziesięciolecie. Równocześnie ocenając ogólnie rozwój jawności, należy zauważyć, iż w ostatnim czasie pojawiły się oznaki pewnego jej dreptania w miejscu — nagromadzone ilości nie zawsze prowadzą do zmian jakościowych, dało o sobie znać niebezpieczeństwo dewaluacji słów, słusznych i w istocie potrzebnych, ale nie wzmocnionych konkretnymi działaniami, co grozi przekształceniem się tego wszystkiego w trywialne gadulstwo. Tak! zaś koniec byłby bardzo godzien ubolewania, jeśli nie katastrofalny dla całego skomplikowanego i niezmiernie trudnego dzieła przebudowy.

Eugeniusz Jewtuszenko

LOS IMION

*Los imion — w losie czasu nam go szukać.
Stawa przypliwoy ma swe i odpływy.
Historii igrastwem nie da się oszukać:
Jak matka ostra jest i sprawiedliwa.*

*Wszystkowiedzącej są widoczni wszyscy
bez względu na to, jaki włożą pancerz.
Na próżno ktoś tam usiłuje cichcem
na wadze jej nacisnąć szalę palcem.*

*Próżno się do niej pragną z zewnątrz wtrynić,
klamstw jakichkolwiek przynętą ją chwycić —
dla tych, co myślą, wiadomy jest wynik:
ona rozsądzi wszystko należycie.*

*I ostatecznie wyrok skuteczni,
i ostatecznie zrzuci kłamstwo dogmaty,
choćby nawet na jej „ostatecznie”
wypadło nieraz czekać długie lata.*

*Jej wzniosły sąd surowy i otwarty.
Na wrzask wulgarny czyjś tam tylko splemie,
aby imionom, co są tego warte,
przywrócić wreszcie należny szacunek.*

*I przed ludzkością uczciwa i szczerą,
wymagająca i z sumieniem zgodna,
władczo z marmuru te imiona ściera,
które marmuru nie są wcale godne.*

Przełożył K. A. Jaworski

Utwór z lat sześćdziesiątych.

Co przeszkadza w przebudowie?

DYREKTOR Instytutu Badań Socjologicznych ZSRR, prof. Wilen Iwanow, przedstawił w prasie (m.in. w „Izwiestjach” i „Sowietskoj Rossiji”) wyniki sondażu dokonanego przez pracowników Instytutu wśród ponad siedmiu tysięcy osób z kilkuset zakładów pracy w różnych miejscowościach ZSRR na temat: „Co przeszkadza w przebudowie”.

Na wstępie prof. Iwanow stwierdza, że zdecydowanych przeciwników przebudowy, takich którzy uważaliby, iż żadne zmiany wcale nie są potrzebne, jest zaledwie 0,6 proc., zaś 90 proc. ankietowanych wypowiada się bezwarunkowo za przebudową.

Podjezwając, że tak masowe poparcie może wynikać z nawyku „jednomyślnego aprobowania” wszelkich odgórnych akcji, socjologowie oddzielnie przebadali grupę młodzieży, która, zdaniem prof. Iwanowa jest mniej skłonna do konformizmu. Tu wyniki były nieco inne: bezwarunkowo za przebudową opowiedziało się 84 proc. młodych robotników, ale już 94 proc. młodych inżynierów i urzędników.

Wszyscy jesteśmy niecierpliwi — podkreśla prof. Iwanow. — Wkładając dzisiaj wysiłek w przebudowę pragnęlibyśmy natychmiast widzieć wyniki, a więc nowe towary, wyższe płace, lepsze mieszkania, a przecież radykalną poprawę samej tylko kwestii mieszkaniowej przewiduje się dopiero na rok 2000. Dziś wielu młodych ludzi odczuwa przebudowę jednostronnie: jako wzmogoną pracę. Fakt, że im bliżej bezpośredniej produkcji, tym przebudowa jest mniej odczuwalna. Choć co piąty przedstawiciel ścisłej kadry kierowniczej zakładów przemysłowych Moskwy uważa, że w jego przedsiębiorstwie przebudowa odbywa się z powodzeniem, to zdania tego nie podziela żaden z kierowników wydziałów w tych przedsiębiorstwach. Połowa spośród ankietowanych kierowników w tych przedsiębiorstwach stwierdziła, że wcale nie odczuwa przebudowy, natomiast druga zauważyła, że przebudowa wprawdzie postępuje, ale zbyt opornie.

Charakterystyczne, że nie wszystkim podoba się ostry, krytyczny ton śród-

ków masowego przekazu. Niemal czwarta część pracowników przemysłu maszynowego w Kazachstanie, których opinie sondowano, uważa, że powszechne ujawnianie niedociągnięć i trudności przynosi więcej szkody niż pożytku. A w dzielnicy sewastopolskiej w Moskwie duża część ankietowanych wyraziła przekonanie, że negatywne informacje powinny być w większej części przeznaczane wyłącznie „do użytku służbowego”.

Ludzie wiążą duże nadzieje z przebudową, ale zauważa się nastroje wycofania. I tak np. jedna trzecia badanych w moskiewskich zakładach „Santiechoborudowanije” oznajmiła, że zamierza poczekać dopóki nie wyloni się wyraźniejszy kształt przebudowy i dopiero wówczas podejmie decyzję: włączyć się do niej czy też nie.

Przyczyną inercji i bierności prof. Iwanow upatruje w stosunkach produkcji, które są podstawą wszelkich innych stosunków między ludźmi. Zaś stosunki produkcji nie zmieniają się dopóty, dopóki nie zostanie przebudowany cały mechanizm gospodarczy. Odejście od dogmatów w sferze gospodarczej jest o wiele trudniejsze niż w sferze kultury choćby dlatego, że dogmatyków w gospodarce jest znacznie więcej niż w kulturze.

Stare przyzwyczajenia trudno wykorzenić. Kiedy przedsiębiorstwom dano możliwość redukcji pracowników poprzez łączenie zawodów i rozdzielenie oszczędzonego w ten sposób funduszu plac pomędzy pozostałych pracowników, to skorzystało z tego bardzo niewiele kierowników przedsiębiorstw.

Nieoczekiwane są wyniki sondażu na temat rozwoju samorządu pracowniczego. Nie wszyscy robotnicy chcą w nim uczestniczyć. Słyszysz się też głosy ze strony robotników: niech kierownictwo najpierw zapewni nam wszystko, a dopiero wtedy będziemy pracowali. Z drugiej strony wielu kierowników skarży się na bezwład, brak inicjatywy ze strony robotników.

ZNANY pisarz białoruski, Wasyl Bykau, udzielił wywiadu tygodnikowi „Ogoniok”. Oto kilka fragmentów:

— Obecnie publikuje się utwory, które z różnych przyczyn długi czas nie docierały do czytelnika. Rozlegają się jednakże głosy, w tym także wśród pisarzy, po co drukować takie rzeczy, po co zajmować się literacką nekrofilia. A co pan myśli na ten temat?

— To, że publikuje się rzeczy z poprzednich dziesięcioleci, jest absolutnie słuszne. Co więcej, byłoby po prostu przestępstwem ignorować w dalszym ciągu to wszystko dobre, co było w naszej literaturze. Czyż ludzie nie rozumieją, że należy to zrobić choćby w imię sprawiedliwości? Dlatego, iż liczni pisarze zostali z różnych powodów usunięci z kręgu naszej literatury na wiele dziesięcioleci. Kiedyś usunięty był Jesienin, kiedyś nie wydawano zupełnie epokowych rzeczy Bunina. Gdyby linia ta była kontynuowana, jakież niepowetowane straty poniosłaby nasza literatura! Nie wiadomo dlaczego, nie występuje u nas bardzo żywotny, stary obyczaj — bardzo szanuje się zmarłych. Dopóki pisarz żyje, można go nie wydawać i pominać nim, a po śmierci nieoczekiwanie odkrywa się jakimś — okazuje się — był wybitnym artystą. Dotyczy to również Szuszewa.

— Ostatnio pojawiły się poglądy, iż rzekomo przebiegamy miarę, narzbyt obniżamy nasze rany, zarówno zablężone, jak i świeże. Co może pan powiedzieć na ten temat?

— Bardzo wyraźnie widzę twarze ludzi wyrażających tego rodzaju po-

Henryk Debich człowiek-muzyka

GDYBY zaryzykować twierdzenie, że nie ma w Polsce człowieka, który nie zetknąłby się z tą postacią, nie tak bardzo rozminęlibyśmy się z prawdą. Kiedy wchodził do restauracji, kelnerzy kłaniają mu się w pas, kiedy pokaże się na ulicy, ludzie oglądają się za nim jak za znaną filmową gwiazdą. Kiedy dyryguje w jakimkolwiek mieście w Polsce, sala zawsze wypełniona jest do ostatniego miejsca. Niewątpliwie przyczyniła się do tego telewizja. Ale nawet ona by nie pomogła, gdyby nie osobowość. Henryk Debich jest dyrygentem uniwersalnym. Opracowuje nowe aranżacje i namawia do tego innych. Korzysta ze starych, już uznanych utworów, akompaniuje piosenkarzom, ale także wokalistom opierającym się na repertuarze klasycznym. Pozyskuje do współpracy ludzi zaskakujących swym talentem, takich jak Roma Ambroziewicz-Owsińska, czy Zbigniew Macias. Ostatni koncert z ich udziałem stał się wydarzeniem artystycznym w Lublinie.

Tradycje

— Urodziłem się w Pabianicach, w rodzinie bardzo muzycznej. Matka śpiewała w wielu chórach z tej racji, że ojciec był dyrygentem chórow i orkiestr amatorskich. I my, pięciu chłopaków i dwie dziewczyny oraz pomoc domowa wszyscy byliśmy umuzykalniani przez rodziców. Było tyle pracy, że musieliśmy pomagać, a to w przepisywaniu nut, a to przy ich roznoszeniu, a to zastępując nieobecnych chórzystę. Tak to właśnie wyglądały początki naszej edukacji muzycznej. Gdy miałem sześć lat, ojciec posłał mnie do znakomitego pianisty profesora Heinze. Dalsza moja nauka odbywała się w filii konserwatorium łódzkiego, czyli prywatnej szkole pani Bromilskiej. Tam grałem na fortepianie, a w domu na innych instrumentach. Ponieważ ojciec prowadził również orkiestrę dętą i symfoniczną, trzeba było nauczyć się grać na trąbce czy puzonie.

Piętnastoletni... dyrygent

— To było w 1936 roku. W audycji radiowej zastępowałem ojca, dyrygując w niedzielę o godzinie dwunastej na poranku symfonicznie. Pamiętam walc „Na skrzydłach” Prosnaka. W sześćdziesięcioosobowym chórze śpiewała moja mama, siostry, bracia. Ojciec, niestety, mocno przeziębził się po jakimś balu. Ja byłem już wtedy muzykiem dość zaawansowanym. W gimnazjum im. Śniadeckiego miałem swój zespół pod nazwą „Henio jazz”, dziewięcioosobowy: saksofony, trąbka, puzony i obowiązkowo akordeon, czyli „biała harmonia”.

Do Pabianic przybywała co pewien czas z Łodzi prof. Helena Kijeńska, znakomity pedagog, wybierała co zdolniejszych uczniów i kazała nam raz na dwa tygodnie przyjeżdżać do swego konserwatorium. Pamiętam, jeździłem na rowerze, bo tramwaj był za drogi. Była w konserwatorium okazja do podsluchiwania znakomych zespołów: Golda, Karasińskiego, grających w kawiarniach „Ziemiańska”, „Grand Hotel” itp. To było na krótko przed wojną.

Wojna i muzyka

— Mój ojciec, Bernard Debich, był postacią bardzo popularną. Oprócz dyrygowania zajmował się działalnością społeczną, był między innymi prezesem Związku Zachodniego. Z chwilą wybuchu wojny dowiedział się o wydanym na siebie przez Niemców wyroku śmierci. Wtedy wszyscy, oprócz matki i młodszego rodzeństwa, udaliśmy się w kierunku Warszawy. Tam rodzina się rozspalała, zostaliśmy tylko z młodszym bratem. Po kapitulacji wróciliśmy do Łodzi i ukrywaliśmy się przez jakiś czas. Ale kiedy pewnego dnia spaliliśmy w domu, który już nie był naszym własnym domem, aresztowano nas w nocy i wywieziono do Radogoszcza, a

stamtąd do Dachau. Znalazłem się w jednym bloku z Włodkiem Skoczylasem, Tadeuszem Fijewskim, Gustawem Morcinkiem, Stanisławem Grzesiukiem, głową Kościoła ewangelickiego — księdzem Gasparym. Muzyki też nie zabrakło. W obozie dyrygowałem chórem. Pomagał mi bardzo muzyczny ksiądz Jan. Nazwiska nie pamiętam. Uczyl nas pieśni religijnych.

Pamiętam jedną, śmieszna i dramatyczną zarazem historię. Do pracy trzeba było wychodzić ze śpiewem. Uczęno nas i niemieckich piosenek. Ale my oczywiście przez kilka tygodni śpiewaliśmy „Marsz, marsz Polonia”. Pewnego dnia w czasie wizyty jednego z esesmanów zwrócił na siebie jego uwagę Włodek Skoczylas, który zawsze tak śmiesznie podrygiwał. Już wtedy był aktorem. Esesman poprosił go, by zaśpiewał to, „co zawsze śpiewacie, wychodząc do pracy. A co to jest?”. „A, to taki modny szlagier” — bez zająknięcia odrzekł Włodek. Ale po kilku tygodniach przyszło zarządzenie, że nie wolno nam tego śpiewać.

Po wojnie wróciliśmy do Łodzi. Wróciliśmy wszyscy, oprócz najstarszego brata. Do tej pory nie odnaleźliśmy nawet śladu po nim.

Narodziny orkiestry

— Wracając do pierwszego okresu powojennego. Ojciec reaktywował orkiestrę, chóry, my mu pomagaliśmy. Potem z ramienia ministerstwa został delegowany wraz z Kazimierzem Wilkomirskim na Ziemię Odzyskaną. Wilkomirski miał za zadanie we Wrocławiu organizować zawodowe życie muzyczne, a mój ojciec w Bielawie życie amatorskie. Były tam potężne zakłady przemysłowe bawelnianego. Utworzył przy nich ojciec szkołę, orkiestrę i chór. Pamiętam dobrze koncert 1 maja 1946



Fot. Bogusław Nieznalski

roku. Nawet mam widoczną jego pamiętkę; w antologii o Ziemiach Odzyskanych jest takie zdjęcie, na którym odnalazłem siebie, grającego na klarncie.

Życie moje jednak nadal było związane z Łodzią. Praca w szkole w Pabianicach oraz edukacja w łódzkim konserwatorium. A już w 1948 roku byłem studentem Wyższej Szkoły Muzycznej na dyrygenturze. Kazimierz Wilkomirski został pierwszym rektorem tej zreformowanej uczelni. Egzamin dyplomowy to był oczywiście koncert w łódzkiej filharmonii. Orkiestra grała „Eroica” Beethovena, uwerturę do opery „Flis” Moniuszki, koncert Rachmaninowa.

Dlaczego tak dokładnie pamiętam? To było moje życie, niezapomniane chwile. Jeszcze w czasie studiów przed wakacjami 1949 roku, kiedy przygotowaliśmy wyjazd na obóz studencki do Szklarskiej Poręby, zgłosiła się do naszej uczelni pani Franciszka Leszczyńska, ówczesny kierownik redakcji muzycznej Rozgłośni Łódzkiej, i wywiesiła kartkę, że poszukuje młodych, zdolnych ludzi na stanowisko redaktora. Ogłosiła konkurs, na który stawilo się około piętnastu kolegów. Po krót-

kim przesłuchaniu wybrała dwóch, w tym mnie, oraz zaprosiła nas do radia na rozmowę. Skończyło się tym, że otrzymałem propozycję objęcia jej stanowiska, bo odchodziła do Warszawy. Tłumaczyłem, że mam obóz letni, obowiązki na uczelni. W końcu rozstrzygnęliśmy sprawę kompromisowo. Miałem przerwać obóz i w połowie sierpnia usiąść za biurkiem. Tak się też stało. Podpisałem umowę, a potem usłyszałem: „Będziesz kasjerem, redaktorem, reżyserem, a najlepiej, żebyś zorganizował własną orkiestrę”. Ponieważ już posiadałem wspomniany zespół „Henio jazz” w Pabianicach, który powiększyłem tymczasem do osiemnastu osób, zaproponowałem pani Leszczyńskiej wspólny koncert we wrześniu (ona grała na fortepianie). Do tego koncertu zaangażowałem również kolegów z Łodzi. Odbył się w hali zakładów im. Strzelczyka i padła propozycja, by orkiestra ta stała się orkiestrą radiową.

Pojechałem do Warszawy. Wówczas naczelnym redaktorem Działu Muzycznego Polskiego Radia był prof. Jasiński, a Władysław Szpilman kierownikiem Działu Rozrywkowego. Bardzo im się ta idea spodobała. Ale ja nie miałem jeszcze ukończonych studiów. Natomiast kończył dyrygenturę w Łodzi Aleksander Tarski, uczeń Górczyńskiego. On z początku objął więc funkcję dyrygenta. Faktycznie orkiestra istniała od stycznia 1950 roku. Przy pomocy pani Leszczyńskiej otrzymaliśmy osiemnaście etatów, później jeszcze szesnaście dla chóru. Byli to najlepsi studenci naszej uczelni: Teresa Zyllis-Gara, Danuta Debichowa (moja ówczesna żona), Roman Wasilewski, dzisiaj historia wokalistyki. Mieliśmy wiele koncertów w Łodzi i w terenie. Trzeba było nie lada wysiłku, żeby się wybić, bo istniała konkurencja w postaci orkiestry Rachonia. W 1952 roku Tarski odszedł do Warszawy, a ja otrzymałem nominację na kierownika artystycznego i dyrygenta Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi i do tej pory, już trzydziścią osiem lat, w nią inwestuję.

Praca

— Nie liczyłem dokładnie, ale myślę, że mam na swoim koncie grubo ponad sto płyt. Przy naszym systemie nagraniowym to i tak dużo. Myślę tu nie tylko o płytach autorskich, jak na przykład ostatnią „Parafrazy i transkrypcje”, ale też o festiwalowych, muzyce filmowej czy towarzyszeniu wybitnym solistom, jak Sokorska, Hiolski, Paprocki. Główną moją domeną są aranżacje. Teraz instrumentuję wielką arię Elwiry z opery „Ernani” — Verdiego. Opracowuję pieśni hebrajskie — Ravela dla Maciasa oraz greckie, tego samego kompozytora, dla Raptisa.

Przez jedenaście lat jeździłem na festiwalu do Sopotu, od początku do Kołobrzegu, cztery razy byłem w Zielonej Górze, raz w Opolu. Moja orkiestra nie jest prywatną firmą. Decyzją Radiokomitego trzeba było dać innym pograć na festiwalach. Zresztą ja zacząłem wyjeżdżać z kraju. Na zagraniczne festiwale, a także by dyrygować innymi orkiestrami na świecie. Zdaje sobie sprawę, że niektórym ludziom nie podoba się mój uniwersalizm. A ja zawsze miałem takie upodobania. Od muzyki klasycznej do rozrywki. Historia zresztą zna wiele takich przypadków. Nawet Franciszek Liszt dość swobodnie poczynał sobie w swoich fantazjach na temat Schuberta, Wagnera, Mozarta, czy Verdiego. Gdyby nie czyniono w tej dziedzinie eksperymentów, nie miałyby racji bytu wielkie orkiestry na świecie. Przed wydaniem mojej płyty „Parafrazy i transkrypcje” ogłosiłem konkurs na popularne opracowania klasycznych tematów. Najbardziej podobało mi się to, co zrobił z „Tańcami połowieckimi” Peter Herbolzheimer z RFN. Ale na płycie znajdują się również aranżacje moje i mojego syna Mariusza.

Scheda

— Moje żony były śpiewaczkami. O pierwszej już wspominałem. Druga, Zofia Rudnicka, zmarła w rozkwicie swego talentu. Owocem tego związku jest mój jedyny syn. Otrzymał niedawno dyplom magistra sztuki na Akademii Muzycznej w Łodzi, na Wydziale Teorii i Kompozycji. Rozszerzył studia o dyrygenturę w Warszawie i w najbliższych dniach będzie dyrygował na koncercie dyplomowym w Filharmonii Narodowej. Półprofesjonalnie zajmuje się muzyką brat Waclaw, który przeżył ze mną obóz. Objął schedę po ojcu na Dolnym Śląsku. Prowadził dętą orkiestrę symfoniczną, był dyrektorem ogniska muzycznego. Ma wielu wychowanków...

Wspomnienia spisała:
Irena Filus

„Komediantka” i Reymont — aktor

Mirosław Derecki

DEBIUTANCKA powieść Władysława Reymonta, wydana w 1896 r. „Komediantka”, ukazująca bolesne doświadczenia młodej, pięknej dziewczyny z prowincji, która postanowiła zostać aktorką (historia dzieje się u schyłku XIX wieku w zaborze rosyjskim), posiada także akcent lubelski. Opowieść o losach Janki Orłowskiej, córki zawiadowcy stacji w lichej, nudnej miejscinie, skąd chciała się wyrwać w cudowny świat teatru, kończy się oto tak:

„W kilka dni później Kotlicki, powróciwszy z Lublina, gdzie instalował niejako towarzystwo Topolskiego, przeglądał w cukierni pisma i jakimś trafem szczególnym przeczytał w rubryce wypadków następującą wiadomość:

»Samobójstwo aktorki. We wtorek, w Chambres-garnies na Nowym Świecie służba usłyszała jęki wydobywające się z numeru, który przed godziną zajęła jakaś młoda kobieta, wylamala drzwi i oczom jej przedstawił się straszny widok. Na ziemi wyla się w bólach młoda i piękna kobieta. Dwa listy, pozostawione przez desperatkę, objaśniły, że jest to niejaka Janina Orłowska, była chórzystka teatru, który pod dyktando Cabińskiego dawał w ubiegłym sezonie przedstawienia w teatrzyku NN. [...] Kotlicki czytał tę wiadomość kilka razy z rzędu, marszczył się, błądź, targal wąsy, znowu czytał, wreszcie zniósł »Kurier« i rzucił go ze złością na ziemię.

— Komediantka! Komediantka!... — szepnął pogardliwie, zagryzając usta. Finał zrealizowanego niedawno przez

Jerzego Sztwiertnię filmu „Komediantka”, opartego na książce Władysława Reymonta, wygląda podobnie, choć tutaj Kotlicki czyta dramatyczną wiadomość reżyserowi Topolskiemu w bocznej kulisie sceny lubelskiego teatru podczas idącego właśnie, gorąco oklaskiwanego przedstawienia.

Nieco wcześniej na kartach książki Reymonta jest mowa o zamierzeniach Topolskiego, który — doprowadziwszy do rozbitcia trupy teatralnej Cabińskiego i zebrawszy nowy, własny zespół — zamierza rozpocząć działalność artystyczną właśnie od Lublina...

„Komediantka” napisana jest z ogromnym wyczuciem i zaleźnością teatru. Właśnie teatru drugo- i trzeciorzędnego w Polsce końca minionego stulecia, tych wszystkich „trup” i „towarzystw” teatralnych, które wędrowały po najbardziej zabitych deskami miejscowościach kraju, od Włodawy po Łęczycę, od Ozorkowa po Puławę i Lubartów, trafiając nieraz na dłużej — jeśli „antrepreneurowi” szczęście dopisało — do większych miast jak Lublin

czas, gdy właśnie oddany został do użytku nowo zbudowany, okazały i wygodny gmach teatralny przy ul. Namieśnikowskiej (do dziś istniejący — przy obecnej ulicy Narutowicza — Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie). Ów gmach teatralny i występy na jego scenie mogły tak zachwycić młodziutkiego aktora, który dotychczas grywał na scenach Ozorkowa, Łęczycy, Gostynina, Turka i Ciechanowa że odwołał się później w „Komediantce” do

Edwarda Oleśniewicza, który już w 1884 r. zaangażował się do jakiejś grupy teatralnej.

Właśnie do zespołu, w którym grał Oleśniewicz, dołączył siedemnastoletni Władysław Reymont: „przeszło dziesięć mil podążałem do niego” — pisał później autor „Komediantki”. I jeszcze: „Zaangażował mnie do trupy; nie byłem zbyt olśniony ni towarzyszącami, ni samą sztuką, ale mogłem żyć przynajmniej swobodnie”.

na zbyt wielu posępów nie zrobił. Po latach zresztą sam pisarz miał przyznać szczerze: „Talentu scenicznego nie miałem”.

Jak się już rzekło, Reymont na scenie lubelskiego teatru wystąpił (według „Słownika biograficznego teatru polskiego”) w czerwcu 1886 r., a następnie w Puławach, S. Kaszyński w opracowaniu „Reymont — człowiek teatru” (w: „Prace Polonistyczne” r. 1968) pisze tylko o występach Reymonta na scenie w Puławach. Od października 1885 r. do 30 maja 1886 r. występował w Lublinie ze swym zespołem Józef Puchniewski; w zespole tym grał wówczas i reżyserował Jan Szyborski (u którego, jak już wspomniano, mógł stawiać ewentualnie pierwsze sceniczne kroki Władysław Reymont). Być może, po zakończeniu sezonu 30 maja przez Puchniewskiego, Szyborski zorganizował w czerwcu ad hoc jakąś „wakacyjną” trupę, do której dołączył także, znany mu już wcześniej, Reymont-Urbański i trupa ta występowała w Lublinie i w Puławach? A może Reymont w ogóle był w zespole Puchniewskiego? Inna sprawa, że nie na ten temat nie wspomina w swej książce „Życie teatralne w Lublinie 1782—1918” (Lublin 1982) Stefan Kruk, badacz i znawca historii lubelskiego teatru.

W Reymontowskiej „Komediantce” historia Janki Orłowskiej nie kończy się tak jednoznacznie i tragicznie jak w filmie Jerzego Sztwiertni. Janka targnęła się na życie, ale w koncowej partii tekstu znajduje się passus nie zamykający „sprawy” w sposób definitywny. „Stan chorej budzi jednak pewne nadzieje” — brzmi jedno ze zdań wiadomości o samobójstwie, zamieszczonej w „Kurierze”, przeglądającym przez Kotlickiego, któremu Janka nie chciała okazać swych „względów”, co by ustaliło jej sytuację finansową i także pozycję w zespole teatralnym Cabińskiego.

Autor „Komediantki” otwierał sobie w ten sposób furtkę do napisania dalszej części historii młodej kobiety; do wydanych w rok później „Fermentów”. W tej drugiej powieści, wyleczona „komediantka” wraca do rodzinnego Bukowca, na stację kolejową, do ojca, aby go pielegnować. I zgadza się wyjść za mąż za swego wielbielca z lat dziecińczych i młodzieńczych, syna bogatego karczmarza, Andrzeja Grzesikiewicza. Czyni tak trochę dla ojca, a głównie może — wyzbywszy się złudzeń, co do swojego teatralnego powołania — dla pieniędzy. Zgnuszenie w atmosferze prowincji, jak szykowało się to samemu Reymontowi, gdy po pierwszym teatralnym porywie na jakiś czas objął posadę na kolej warszawsko-wiedeńskiej. Malo kto wie, że w pierwszej wersji „Fermentów”, (nigdy nie opublikowanej) Janka Orłowska jeszcze raz wyrwa się na pewien czas z Bukowca i rusza w drogę z trupą Cabińskiego, aby wreszcie ostatecznie osiąść w Bukowcu jako szanowana obywatelka. Podobnie Reymont, mimo braku zdolności, kilkakrotnie wyrwał się w świat teatru, dopóki ostatecznie nie oddał się pisaniu.

Co się zaś tyczy ekranizacji powieści Władysława Reymonta przez Jerzego Sztwiertni, to filmowa „Komediantka” — mimo że przygotowana z ogromnym nakładem pracy, pięknie fotografowana i zrealizowana z udziałem czołwki polskich aktorów młodego, średniego i starszego pokolenia (tytułową rolę kreuje doskonała młoda aktorka Małgorzata Pieczyńska; Cabińskiego gra Krzysztof Kowalewski, Cabińską Beata Tyszkiewicz, Władka Piotr Dejmek, Orłowskiego Bronisław Pawlik) — jakoś nie porywa, nie angażuje widza. Zbyt jakiś „kameralny” jest ten film, zbyt jakby mroczny, zbyt statyczny. Świetni aktorzy wydają się grać na zasadzie — „każdy swoją rolę”. Trochę to przypomina czasy gry właśnie w owych ogródkowych teatrach sprzed stu lat, o których film opowiada...

Na seansie, podczas którego oglądałem ten film (na tzw. „dobrym” seansie o godz. 18.00) w głównym lubelskim kinie „Kosmos” — które jeszcze do niedawna tłumy szturmowały na „Nad Niemnem” — siedziało około pięćdziesięciu widzów; z tyłu sali rozlegało się potężne chrapanie.

Trochę tak, jak podczas występów trupy dyrektora Cabińskiego w „Tivoli” w dniu, gdy z nieba śnił deszcz.



Fotos z filmu „Komediantka”

lub Częstochowa, gdzie były gmachy teatralne i przyzwyczajona do odwiedzenia teatru publiczność. W lecie — grywano w tak zwanych teatrzykach ogródkowych — najczęściej bulwarowe komedijki, farsy i operetki; a prawie zawsze — zarówno dyrekcja jak i zespół — świecili pustkami w kieszeniach. Adepti lub adeptki, stawiający pierwsze kroki na scenie, częstokroć w ogóle nie byli opłacani. W wypadku kobiet sytuację ratowało znalezienie sobie majątnego „profektora” Janka Orłowska, która w swym oczarowaniu dziedzictwem Melpomeny takiej ewentualności w ogóle nie chciała brać pod uwagę, musiała skończyć utratą miejsca w teatrze i sięgnięciem po butelkę z esencją octową.

Reymont znał doskonale taki właśnie teatr, bo sam w młodości przez kilka sezonów wędrował z podobnymi, jak „towarzystwo” dyrektora Cabińskiego, „trupami”, grywając raz większe, raz mniejsze rolki i marząc, podobnie jak Janka Orłowska, o wielkiej karierze aktorskiej. Podobnie też jak bohaterka „Komediantki” w końcu musiał odejść, bo nie dostawało mu ani talentu, ani tak zwanej siły przebiccia.

W postaci dyrektora Cabińskiego niekiedy dopatrują się sylwetki znanego aktora i dyrektora „towarzystw” teatralnych z tamtych lat, Józefa Cybulskiego, który niejednokrotnie występował także w Lublinie. Aktor charakterystyczny o zacięciu komediowym, m. in. w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku prowadził wraz z Feliksem Ratajewiczem zespół teatru w Łowiczu; w 1888 r. sam był dyrektorem w warszawskim teatrze ogródkowym na Czystem, a w 1889 r. — w stołecznym ogródkowym teatrze „Promenada”. Władysław Reymont w końcowej fazie scenicznego kariery, to znaczy na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX w., występował właśnie w zespole prowadzonym przez Cybulskiego. Nawiasem mówiąc, Józef Cybulski był ojczymem doskonałego aktora charakterystycznego — po II wojnie światowej dyrektora Teatru Miejskiego w Lublinie — Maksymiliana Chmielarczyka, którego syn, Andrzej Chmielarczyk, dyktuje od wielu lat lubelskiemu Teatrowi Muzycznemu.

Za czasów swej bytności w zespole Józefa Cybulskiego przyszedł autor „Komediantki” nie występował na scenie lubelskiego teatru. Grał natomiast wcześniej, w roku 1886, a więc wów-

Lublina jako do miejsca, w którym ambitny, młody zespół Topolskiego ma rozpocząć swą drogę do sławy i dobrobytu...

Zespół dyrektora Cabińskiego z „Komediantki” składa się po większej części z miernot artystycznych, ludzi życiowo polamanych, zrezygnowanych, zdających sobie sprawę, że nie posiadają przed sobą żadnych perspektyw, żyjących bezustannie na pograniczu kompletnego ubóstwa, a jednak nie potrafiących się wyrwać z kręgu teatru, ze świata taniej iluzji, którą ofiarowują co wieczór publiczności, i także sobie. Być może największą tragedią Janki Orłowskiej jest fakt, że cały czas spogląda ona na teatr Cabińskiego i swoją w nim obecność — z dystansu. Chyba podobnie jak — po początkowym okresie uniżenia — spoglądał na swoją obecność w teatrze sam Reymont.

Czytelnik „Chłopów”, „Ziemii obiecanej” czy właśnie „Komediantki”, przywołując na pamięć skomplikowany i burzliwy młodzieńczy życiorys autora tych książek, westchnął zapewne nieraz nad niedolą kilkunastoletniego chłopca, syna prowincjonalnego organisty, który — oddany do terminu u krawca, dręczony przez prymitywnego pryncypala — marzył w skrytości o scenie. Aż wreszcie uciekł do teatru, do tego „wspaniałego” świata — nierzeczy Janki Orłowska — z zatęchłej atmosfery prowincjonalnego miasteczka.

Otóż trzeba pamiętać, że krawiectwa uczył się kilkunastoletni Reymont w stołecznej Warszawie, w zakładzie swojego szwagra, Konstantego Jakimowicza, człowieka wcale nie biednego i w dodatku posiadającego wraz z żoną zamożności artystyczne. Jakimowicz, krawiec i kuśnier, był natomiast wielbielcem teatru; nie tylko chodził wraz z żoną na co lepsze przedstawienia, nie tylko — wraz z nią — brał udział w przedstawieniach amatorskich, ale co więcej: Jakimowiczowie wysyłali co sobotę do teatru swych terminatorów, a następnie żądali sprawozdania z oglądanej sztuki. Młody Władysław Reymont wzrastał więc raczej w kulcie teatru niż w kulcie noży i żelazka. A jego ucieczka do teatru odbyła się w dużej mierze za sprawą kolegi ze szkółki rzemieślni-

Reymont nigdy nie określił, co to była za „trupa” i kto był jej dyrektorem. Zresztą w ogóle, wypowiadając się w wiele lat później, gdy już był znanym i cenionym pisarzem, laureatem nagrody Nobla, na temat swoich teatralnych lat, nie podawał wiadomości zbyt precyzyjnie. Najprawdopodobniej debiutował jednak w zespole Jana Szyborskiego, gdzie w 1884 r. występował Edward Oleśniewicz, lub u Feliksa Leona Stobińskiego. Bierze się także pod uwagę zespół prowadzony przez Pawła Ratajewicza; z tym jednakże Ratajewicz zmarł w roku 1885, musiałby więc Reymont trafić do jego teatru już w roku 1884 — jak zresztą sugeruje „Słownik biograficzny teatru polskiego” — a nie w r. 1885, jak się dotąd powszechnie uważało. Tak czy inaczej, w sezonie teatralnym 1885/86 Władysław Reymont, występujący pod pseudonimem, Urbański, grał już na pewno na scenie, śląc do siostry w Warszawie list z „z terenu”, datowany 21 grudnia 1885 r.:

„Teatr to właściwe moje pole; ma się rozumieć, że teraz muszę się zadowolić rolami drugo- i trzeciorzędnymi. Na pierwszy raz grałem Wójta w „Czartowskiej lawrze” [chodzi, oczywiście, o „Czartowską lawę”, dramat L. K. Galasiewicza — MD]. [...] a w „Chacie za wsią” tańczę śliczną rolękę śpiewaną. Mniejszych, jak Józka w „Gęsiach i gąskach”, Administratora w „Weselu w Ojcowie”, nie wspominać”.

Było to jednak tylko początkowe zachwycenie rysującym się aktorskimi perspektywami. Ani talentu, ani tak zwanych „warunków sceniczych” młody Reymont nie posiadał. I zapewne jak najbardziej słuszną jest opinia o nim aktora Wacława Szyborskiego (nie mającego nie wspólnego z Janem Szyborskim, dyrektorem trupy teatralnej), który występował z nim razem na scenie:

„Warunki fizyczne raczej nieprzychylnie; niewysokiego wzrostu i o nie-nadzwyczajnym głosie i wzroku tak krótkiego, że bez szkieł nic nie widział. Dyrekcja dała mu jednak debiut w „Barkaroli” Gawalewicza”. Ta opinia Szyborskiego datuje się z początku 1890 r., a więc z końcowego okresu teatralnych występów Reymonta, który — jak widać — w ciągu sześciu lat związku (z przerwami) ze sce-

Karola Wojtyły lubelskie drogi

Dokończenie ze str. 1

ty z uniwersytetem: „Historia zaczęła się od momentu, kiedy przyjechał rektor ubrany wytwornie — nie we fraku, tylko w habicie — i przyjechał z nim prorektor, tym razem nie w habicie, i zaczęli mi tłumaczyć, że jeżeli ja do Polski przyjadę, to powinienem przyjechać do Lublina. Ja im powiedziałem: Prosta sprawa. Idźcie do Warszawy! Ja nie wiem, jak oni tam do tej Warszawy chodzili, dość na tym, że spotykamy się nie w Lublinie...” (Miejscem spotkania była Częstochowa).

Czy zabrakło Lublinowi zapobiegliwości także i podczas drugiej wizyty? Dyplom doktora honoris causa ze wszystkich nauk wykładanych na KUL-u otrzymał Jan Paweł II 16 czerwca 1983 roku w Warszawie. Padły wówczas ponowne życzenia, by mogło dojść do lubelskich odwiedzin. To pragnienie, wyrażane wielokrotnie, którego realizacja nastąpi 9 czerwca br., podkreśla tylko specjalne miejsce miasta w papieskim odczuwaniu. A wszystko zaczęło się w 1954 roku.

Doktor Karol Wojtyła obronił wówczas na Wydziale Teologii Uniwersytetu Jagiellońskiego habilitację, pisząc pod kierunkiem profesora Stefana Świeżawskiego pracę z dziedziny etyki chrześcijańskiej. Oznaczało to początek akademickiej kariery i okres wieloletniej współpracy z lubelskim uniwersytetem. Na KUL-u formował się wówczas silny Wydział Filozofii, który miał wkrótce zasłynąć, także poza granicami kraju, jako „lubelska szkoła filozofii”. Specjalnym animatorem działań tej „szkoły” był dziekan wydziału — Jerzy Kalinowski, a wkrótce wśród grupy złożonej z Mieczysława A. Krąpca, Stefana Świeżawskiego, Mariana Kurdziółki i Stanisława Kamińskiego znalazł się także „skaptowany” w Krakowie, Karol Wojtyła. Odtąd datują się jego regularne lubelskie wizyty.

„Karol podróżował z reguły nocnym pociągiem — wspomina jeden z wieloletnich przyjaciół papieża, ksiądz Mieczysław Maliński. — W pociągu często nie było śpiącego, lecz jedynie kuszetki. Przybywał on na lubelski dworzec około piątej rano, kiedy to nie bardzo jeszcze wiadomo, czy już rozpoczyna dzień, czy jeszcze próbować snu. Rzadko korzystał z ciasnego pokoiku w uniwersyteckim hotelu. Najczęściej wracał do Krakowa tego samego dnia. A wszystko to po wielu godzinach zajęć, wykładów, dyskusji. Nic dziwnego, że czasami z trudem opanowywał zmęczenie”.

Fascynowała w tym okresie Karola Wojtyłę teoria wartości dziewiętnastowiecznego filozofa niemieckiego Maxa Schelera. Ale już wówczas jego stosunek do nauki nosił cechy indywidualizmu. Nie wystarczała mu przykładowo fenomenologia (Scheler był uczniem Husserla), starał się dopracować do niej bardziej całościowy system, cały zespół pojęć ogólnych. Tak ujął to jego późniejszy asystent, ksiądz Tadeusz Styczeń. „Uważam — powiedział — że to Karol Wojtyła «zaraził» lubelskie środowisko filozoficzne — i po dziś dzień je ozdrowienie bulwersuje — swym **personalizmem**”.

Nie ulega wątpliwości, że wykłady profesora Wojtyły cieszyły się na uniwersytecie od początku ogromnym zainteresowaniem. Przede wszystkim właśnie dlatego, że jego nauczanie ujęte było w wymiarze osobistym, wtopione w szeroki zakres problemów moralnych i etycznych człowieka. W uniwersyteckiej auli zawsze brąkowało miejsc: studenci siedzieli na krzesłach-parapetach okien, wreszcie na podłodze. Jedną z ciekawostek tych wykładów był fakt, iż rozpoczynały się one niemal zawsze z piętnastominutowym opóźnieniem. Do „kwadransu akademickiego” dorzucał Karol Wojtyła jeszcze kwadrans. Przypuszczając słuchaczy, mówił, że jego funkcjonowanie „wyznacza czas krakowski”. Jako człowiek zaprzęgnięty szczególnie sprawami ducha, pojawiał się za katedrą w sutannie noszącej ślady cerowania i w przydeptanych butach. Niewielu jednak wiedziało, że połowę swej uniwersyteckiej pensji (jako biskup — całą) oddawał na potrzeby najbardziej potrzebujących studentów, w ramach półprywatnie utworzonego stypendium. Wykład rozpoczynał z reguły od „lekkiego” wprowadzenia, po czym przechodził od razu do istoty sprawy. Najchętniej mówił o miłości. Ten temat był właśnie jego pasją. Po zajęciach wysłuchiwał

z uwagą swoich rozmówców, choć sam nie należał do ludzi błyskawicznie nawiązujących kontakt i oferujących każdemu swą przyjaźń. Często się modlił, nawet w przerwach wykładów, lecz nie było w tym nic z poży. Swym studentom nieraz powtarzał: „Etyka nie jest tylko kwestią intelektu, znajomości teorii, posiadania mniejszego lub większego zasobu wiedzy. Być etykiem to znaczy umieć utrzymywać harmonię między wiedzą a codziennym zachowaniem. W praktyce oznacza to więc człowieka i związki między ludźmi”.

Mimo braku ostentacji z jego strony studenci garnęli się do niego, szybko wyczuwając w nim powiernika dla własnych problemów. Posiadał rzadką umiejętność słuchania drugiego człowieka. Wywalało to specjalny rodzaj więzi między nim a otoczeniem. Wspomina Marian B., jeden z byłych studentów Wydziału Filozofii: „Nasze popularne wyobrażenia o biskupie, kardynale, do tego profesora uniwersytetu, jako o człowieku kostycznym, surowym w obęjsku, zasadniczym, w tym przypadku zupełnie nie znajdowały potwierdzenia. Zdawało się, że egzaminów u Karola Wojtyły było rzeczą stosunkowo łatwą, choć wysoce kłopotliwą. Nie był egzaminatorem szczególnie wymagającym, stwarzał jednak taką atmosferę, że brak w wiedzy odczuwano się przede wszystkim jako krzywdę wyrządzoną mu osobiście. Czasami istnieje podobny związek między ojcem a dzieckiem”.

Absolutną nowością na uniwersytecie stało się przeniesienie części zajęć poza klasne mury dawnego klasztoru karmelitańskiego. Seminaria i ewangelizacja wyprowadził Wojtyła nad jeziora, do lasu i nad brzegi rzek. I wtedy właśnie jego kontakty ze studentami nabrały owego specjalnego charakteru. To wówczas narodził się przydomek „Wujek”, przyjęty potem przez jego młodych przyjaciół w całym kraju; przydomek, który tak szokował zagranicznych obserwatorów na transparentach w Krakowie, podczas pierwszej wizyty papieża w Polsce. Wzajemne kontakty nabrały teraz cech bardziej intymnych. Dyskusje przy ognisku i w czasie długich pieszych wycieczek wzbogacone o osobisty wymiar pobudzały intelektualnie. Z większą swobodą przynosił młodzi ludzie przed jego osąd własne problemy, przeżycia i kłopoty. Tak kształtował się kolejny „image” Karola Wojtyły jako towarzysza wspólnych wypraw, powiernika, miłośnika śpiewu i muzyki. Teraz, aby zasłużyć na miano dobrego asystenta należało nie tylko dysponować stosowną wiedzą, lecz także umieć jeździć na nartach, mieć mocne i zdrowe nogi i kochać naturę. (Choć i tak nikt lepiej od niego nie potrafił zjechać christianią).

Z tego też okresu pochodzą i te „inne”, pozauniwersyteckie kontakty. Nigdy nie był bowiem Karol Wojtyła zamknięty na poglądy odmienne, o ile tylko były autentyczne. Najlepszy wyraz dał temu podczas wspomnianego już spotkania z delegacją KUL-u w Częstochowie w 1979 roku. „Niebezpieczny jest człowiek — powiedział — który nie wybiera ryzyka, nie wybiera wedle najgłębszych przekonań, wedle swej wewnętrznej potrzeby, tylko chce się zmieścić w jakiejś koniunkturze, chce płynąć, kierując się jakimś konformizmem przesuwając się raz w lewo, raz w prawo — wedle tego, jak zawieje wiatr. Ja bym powiedział, że i dla sprawy chrześcijaństwa i dla sprawy marksizmu w Polsce jest najlepiej wówczas, kiedy ludzie są zdolni podejmować to ryzyko, ewangeliczne ryzyko życia, przynajmniej się do swojej prawdy ze wszystkimi konsekwencjami”.

Dziwnym zbiegiem okoliczności podczas owych naukowo-turystycznych wypraw dochodziły Karola Wojtyłę wieści o kolejnych nominacjach na coraz to wyższe stanowiska kościelne. Tak było w 1958 roku, kiedy został mianowany biskupem, tak było

i w 1963 roku, kiedy podniesiono go do godności arcybiskupa metropolity krakowskiego. Nominacje te, siłą rzeczy, oznaczały coraz to nowe obowiązki i w konsekwencji coraz to rzadsze odwiedziny w Lublinie. Miał teraz grupę asystentów, którzy często odwiedzali go w Krakowie, jeśli nie mogli osobiście zjawić się na uczelni. Nie zaniechał jednak wspólnych okresowych wycieczek, biwaków, wspanaczek na Turbacz, spacerów po Nałęczowie, Ojcowie czy Sikorniku, i dopiero po konklawe towarzysze tych eskapad uświadomili sobie ze zdumieniem, jak mało wiedzieli o swoim profesorsze. To dziesiątki prasowych publikacji odkryły im dopiero prawdę o Wadowicach, o rodzinnym domu papieża, o występach w teatrze, o ciężkiej pracy fizycznej w kamieniołomach i fabryce „Solvay” w okresie niemieckiej okupacji. Profesor Wojtyła miał na pewno w sobie coś z oddalenia. Częściej słuchał innych, samemu unikając zwierzeń i osobistych odniesień.

Jego działalność naukowa nie ograniczała się, rzecz jasna, do wykładów, seminariów czy sympozjów. Obejmowała także działalność publicystyczną. W 1960 roku Towarzystwo Naukowe KUL wydało jego książkę „Miłość i odpowiedzialność” która przyniosła mu spory rozgłos i została przetłumaczona na kilka języków. Także w Lublinie wydano „Osobę i czyn”.

Rok 1962 przyniósł początek wielkiego przełomu w życiu Kościoła rzymskokatolickiego — II Sobór Watykański. Jego prace pochłonęły Karola Wojtyłę całkowicie. Uczestniczył we wszystkich sesjach soborowych. Pod presją wciąż akumulujących się nowych powinności zwracał się w tym czasie dwukrotnie do władz uniwersyteckich z prośbą o



Promocja doktorska Jerzego Galkowskiego. Promocji udziela kardynał Karol Wojtyła, 13 czerwca 1967 r.

zwolnienie go z obowiązków profesorskich. Prośby te nie zostały jednak wysłuchane do końca. Nawet wtedy, gdy 29 maja 1967 roku otrzymał kapelusze kardynałski. W dwa tygodnie później nowo mianowany kardynał uczestniczył już w Lublinie w obronie pracy doktorskiej Jerzego Galkowskiego.

Tadeusz Karolak opisuje w swojej książce „Jan Paweł II — papież z Polski” ostatni uniwersytecki „akt” Karola Wojtyły. Wiąże się on z osobą jednego z asystentów, księdza Andrzeja Szostka. W lipcu 1978 roku przesłał on kardynałowi manuskrypt swojej pracy doktorskiej z prośbą o recenzję. Tymczasem śmierć Pawła VI wezwwała Karola Wojtyłę do Rzymu. Zdał więc jedynie skomponować jednostronicowy list, w którym wyraził pozytywną opinię o pracy, wyznaczając termin jej obrony na 11 listopada. Tymczasem nastąpił 16 października. Mimo ogromnej ilości spraw do załatwienia Jan Paweł II nie zapomniał o swoim podopiecznym. Wystosował pismo do dziekana Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej aby ów wcześniej, prywatny list potraktować jako rodzaj wiolentowej recenzji. W ten sposób po raz pierwszy w historii Katedry Uniwersytetu Lubelskiego prywatny list stał się akademickim dokumentem.

Senat KUL-u przyznał Janowi Pawłowi II tytuł doktora honoris causa, papież z kolei podjął dzieło budowy kolegium Jana Pawła II które służyć będzie uniwersytetowi. To tylko wymierne materialne przykłady wciąż żywych związków obu stron. Wysłuchując wspomnień, refleksji i zadań tych, którzy go w Lublinie spotykali, zauważyłem, że istota tych wzajemnych kontaktów kryje się jednak przede wszystkim w tych głębszych, pozamaterialnych treściach. Warto o tym pamiętać, by uświadomić sobie że Lublin to nie tylko po prostu jedno z miejsc na trasach papieskich powrotów do Ojczyzny; to jakby specjalny powrót do szczególnie bliskiego sobie świata.

Wiesław Horabik
Zdjęcia: Marian Halasa



Spółczesność KUL-u składa życzenia Karolowi Wojtyłemu z racji nominacji na kardynała. Gratulacje przedstawiciel młodzieży Janusz Bazydło, 13 czerwca 1967 r.

Myśląc Ojczyzna...

Ojczyzna — kiedy myślę — wówczas wyrażam siebie i zakorzeniam, mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie przebiega ku innym, aby wszystkich ogarnąć w przeszłość dawniejszą niż każdy z nas: z niej się wylaniem... gdy myślę Ojczyzna — by zamknąć ją w sobie jak skarb. Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń, którą wypełnia.

GDY DOKOŁA MÓWIĄ JEZYKAMI...

1. Gdy dokoła mówią językami, jak narastały pokolenia, wnosząc do skarbcza swej ziemi rzeczy stare i nowe —

Ziemia stała się łożyskiem światła zapalanych głęboko w ludziach, płynęły wciąż jednakowo te same rzeki i wciąż na nowo opływał ziemię strumień mowy wzbierający historią.

Wody rzek zbiegały ku dołowi, strumień mowy dążył w stronę szczytu.

Szczytem był każdy człowiek wyrastający z tej ziemi i każdy nim jest —

równocześnie szczyt wznosi się ponad każdym i ponad wszystkimi, wznosi się coraz stromiej i coraz głębiej zapada w sumienia.

2. Gdy dokoła mówią językami, dźwięczy pośród nich jeden: nasz własny. Zagłębia się w myśli pokoleń i ziemię naszą opływa i staje się dachem domu, w którym jesteśmy razem —

poza nim dźwięczy rzadko —

(w grupach ludzi, którzy mówią wokół, jakby wyspy opływające oceanem powszechnej ludzkiej mowy, nie znajdując własnej fali) —

nie rozszerzyły się zasoby mej ziemi; jeśli nawet odpłynęła mowa, to żeby zanikać powoli w wysychających łożyskach —

nie podjęły mowy moich ojców języki narodów, tłumacząc „za trudna” lub „zbędna” —

na wielkim zgromadzeniu ludów mówimy nie swoim językiem. Język własny zamyka nas w sobie: zawiera, a nie otwiera.

3. Tak zwarci wśród siebie jedną mową, istniejemy w głąb własnych korzeni, czekając na owoc dojrzewania i przesilenia.

Ogarnięci na co dzień pięknem własnej mowy, nie czujemy gorczy, chociaż na rynkach świata nie kupują naszej myśli z powodu drożyzny słów.

Czyż nie żywimy pragnienia głębszej jeszcze wymiany?

Lud żyjący w sercu własnej mowy pozostaje poprzez pokolenia tajemnicą myśli nie przejranej do końca.

SŁYSZĘ JESZCZE DŹWIĘK KOSY...

Ojczyzna — kiedy myślę — słyszę jeszcze dźwięk kosy, gdy uderza o ścianę pszenicy,

łącząc się w jeden profil z jasnością niebosklonu.

Lecz oto nadciągają kosiarki, zapuszczając do wnętrza tej ściany i dźwięków monotonię i ruchów gwałtowne pętle, i tną...

DOCIERAM DO SERCA DRAMATU...

1. Poza mową otwiera się przepaść. Czy jest to niewiadoma słabości, jakiej doświadczyliśmy w ojcach naszych i dziedziczymy w sobie?

Wolność stale trzeba zdobywać, nie można jej tylko posiadać. Przychodzi jako dar, utrzymuje się poprzez zmaganie. Dar i zmaganie wpisują się w karty ukryte, a przecież jawne.

Całym sobą placisz za wolność — więc tą wolnością nazywaj, że możesz płacić ciągle na nowo siebie posiadać.

Tą zapłatą wchodzimy w historię i dotykamy jej epok:

Którędy przebiega dział pokoleń między tymi, co nie dopłacili, a tym, co musieli nadpłacić? Po której jesteśmy stronie?

Nadmiar tyłu samostanowienia czyż nie przerósł sił naszych w przeszłości? Czyż ciężarów historii nie dźwigamy jak filar, którego pęknięcie nie zabiłoby się dotąd?

2. Ojczyzna: wyzwanie tej ziemi rzucone przodkom i nam, by stanąć o wspólnym dobru i mową własną jak sztandar wyśpiewać dzieje.

Spiew dziejów spełniają czyny zbudowane na opokach woli. Dojrzałością samostanowienia osądzamy młodość naszą, czasy rozbitcia i złoty wiek —

Osądziła złotą wolność niewola.

Nosili w sobie ów wyrok bohaterowie stuleci: w wyzwanie ziemi wchodzili jak w ciemną noc, wołając „wolność jest droższa niż życie!”

Osądziliśmy wolność naszą sprawliwiej niż inni (podnosiła swój głos tajemnica dziejów): na ołtarzu samostanowienia płonęły ofiary pokoleń — przejmujące wołanie wolności silniejszej niż śmierć.

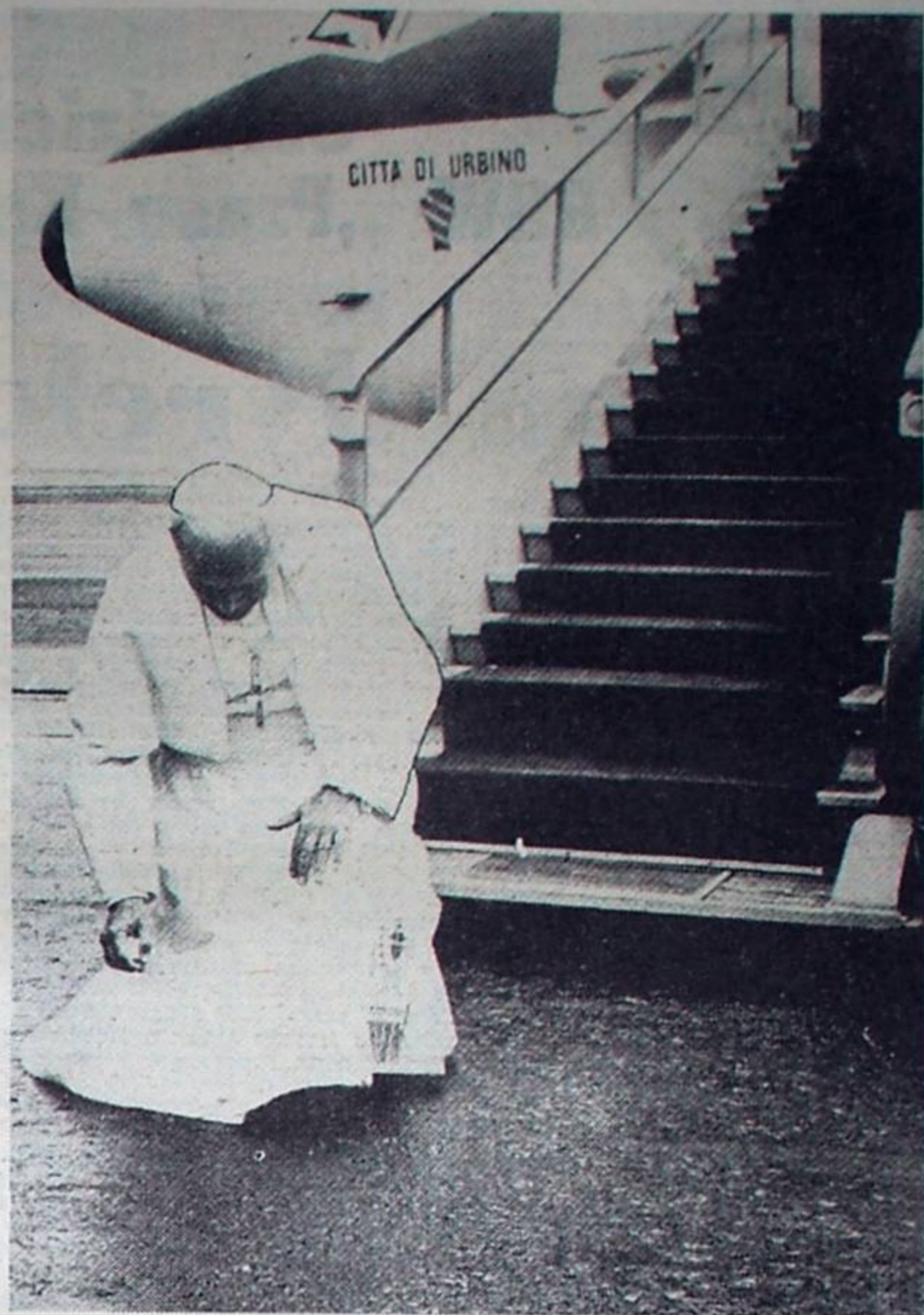
3. Czyż możemy odrzucić wołanie, które rośnie w nas jakby nurt w za wysokich i zbyt stromych brzegach?

Czyż możemy mierzyć naszą wolność wolnością innych?

— zmaganie i dar —

Wy, co wolność waszą związaście z naszą, przebaczenie!

I patrzcie! — że wolność naszą i waszą odkrywamy ciągle na nowo jako dar, który przychodzi, i zmaganie, którego wciąż nie dosyć.



REFREN

Kiedy myślę: Ojczyzna, szukam drogi, która zbiega przecina jakby prąd wysokiego napięcia, biegnąc górą — tak ona biegnie stromo w każdym z nas i nie pozwala ustać.

Droga biegnie po tych samych zboczach, powraca na miejsca te same, staje się wielkim milczeniem, które nawiedza co wieczór zmęczone płuca mej ziemi.

MYŚLĄC OJCZYŻNA, POWRACAM W STRONĘ DRZEWA...

1. Drzewo wiadomości dobrego i złego wyrastało nad brzegami rzek naszej ziemi, wyrastało wraz z nami przez wieki, wrastało w Kościół korzeniami sumień.

Nieśliśmy owoce, które ciążą i które wzbogacają. Czuliśmy, jak głęboko rozszczepia się pień, choć korzenie wrastają w jeden grunt...

Historia warstwą wydarzeń powleka zmagania sumień. W warstwie tej drgają zwycięstwa i upadki. Historia ich nie pokrywa, lecz uwydatnia...

Czyż może historia popłynąć przeciw prądowi sumień?

2. W którą stronę rozgałęził się pień? W którą stronę podążają sumienia? W którą stronę narasta historia naszej ziemi? Drzewo wiadomości nie zna granic.

Granica jest tylko Przyjście, które zmagania sumień i tajemnice dziejów połączy w jednym Ciele — i drzewo wiadomości zamieni w Źródło Życia wciąż wzbierające.

Lecz dotąd dzień każdy przynosi to samo rozszczepienie w każdej myśli i czynie; z którego Kościół sumień rośnie w korzeniach historii.

3. Obyśmy nie stracili sprzed oczu tej przejrzystości, z jaką przychodzą ku nam wydarzenia zabłąkane w niewymiernej wieży, w której człowiek jednakże wie, dokąd idzie. Miłość sama równoważy los.

Obyśmy nie rozszerzali wymiarów cienia.

Promień światła niechaj pada w serca i przeświecła mroki pokoleń. Strumień mocy niech przenika słabości.

Nie możemy godzić się na słabość.

4. Słaby jest lud, jeśli godzi się ze swoją klęską, gdy zapomina, że został posłany, by czuwać, aż przyjdzie jego godzina. Godziny wciąż powracają na wielkiej tarczy historii.

Oto liturgia dziejów. Czuwanie jest słowem Pana i słowem Ludu, które będziemy przyjmować ciągle na nowo. Godziny przechodzą w psalm nieustających nawróceń: Idziemy uczestniczyć w Eucharystii świętów.

5. Więc schodzimy ku tobie, ziemio, by poszerzyć cię we wszystkich ludziach — ziemio naszych upadków i zwycięstw, która wznosisz się we wszystkich sercach tajemnicą paschalną.

Ziemio, która nie przestajesz być częścią naszego czasu.

Ucząc się nowej nadziei, idziemy poprzez ten czas ku ziemi nowej. I wznosimy ciebie ziemio dawna, jak owoc miłości pokoleń, która przerosła nienawisć.

Kraków 1974 r.



RSW „Prasa - Książka - Ruch”

Czterdzieści lat

Byłem dyrektorem

ZAPYTANY, co go w latach pracy zawodowej najbardziej fascynowało, Tadeusz Gwardak odpowiada, że przede wszystkim — dziennikarstwo. I dodaje zaraz, jakby dla wyjaśnienia, iż ze stanowiska publicysty przesiadł się na dyrektorski fotel z tej prostej przyczyny, że jego koledzy po fachu nie chcieli mieć za wydawcę gazet, w których pracowali, urzędnika, tylko właśnie dziennikarza, człowieka, który zna dobrze z autopsji problemy prasy, a równocześnie nie jest nowicjuszem, jeśli chodzi o pracę biurowo-administracyjną.

Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” — noszące tę nazwę właśnie od 1960 r., kiedy to Tadeusz Gwardakowi powierzono funkcję dyrektora — miało wydawać dwie gazety codzienne: organ KW PZPR w Lublinie — „Sztandar Ludu” oraz popołudniówkę — „Kurier Lubelski”, wychodzącą wprawdzie już od trzech lat, ale wydawaną dotąd przez Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą (która skrótnie przekształciła się w zajmujące się tylko wydawaniem książek — Wydawnictwo Lubelskie).

Do tej pory, gdy RSW „Prasa” wydawała w Lublinie tylko jedną ga-

zeta, „Sztandar Ludu”, dyrektorem od spraw wydawniczych był po prostu każdy kolejny redaktor naczelny wojewódzkiej gazety partyjnej. Teraz sytuacja się zmieniła, należało powołać wyspecjalizowaną w sprawach edytorstwa gazetowego „placówkę”. Wejście „pod skrzydła” RSW „Prasa”, potężnego „koncernu” wydawniczego o wielkich możliwościach finansowych i ustalonej pozycji, było zarówno dla gazety, jak i dla zatrudnionych w niej dziennikarzy, rzeczą bardzo korzystną. W kilka lat później, w roku 1966, także „Kamena” — dotowana dotąd przez Wojewódzki Wydział Kultury w Lublinie i borykająca się bezustannie z problemami finansowymi — została przyjęta, ku zadowoleniu środowiska artystycznego, a przede wszystkim pracującym w niej dziennikarzy, przez RSW „Prasa”. Stała się wówczas trzecim tytułem Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego.

Czym się charakteryzował ten pierwszy, pionierski okres istnienia Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego? Tadeusz Gwardak, uśmiechając się w charakterystyczny dla niego, trochę ironiczny sposób, stwierdza, że właśnie wtedy skończył się w prasie okres

walki o podwyższanie nakładów pism, a przyszedł czas limitów. To znaczy — limitowania nakładów gazet i także limitowania zwrotów. „Wówczas — powiada — moim głównym zadaniem jako dyrektora podległej mi placówki była walka o nakład. Lecz nie w sensie zdobywania nowych czytelników, tylko bojów z dysponentami papieru. Na przykład — nakład „Sztandaru Ludu” określono »odgórnie« na 85 tysięcy egzemplarzy, a zapotrzebowanie na rynku czytelniczym było znacznie większe. I teraz trzeba było używać całego wachlarza różnych kruczków i wybiegów, aby »wytargować« w Zarządzie Głównym kilka tysięcy egzemplarzy dla zwiększenia nakładu»...

Do jaśniejszych stron pracy w tym okresie należał fakt rozpoczęcia przez Zarząd Główny RSW „Prasa” budowy Ośrodka Wypoczynkowego RSW w Kazimierzu nad Wisłą, zwanego powszechnie — od czasu oddania go do użytku — Domem Dziennikarza. Stał się Dom Dziennikarza w ciągu co najmniej dziesięciu następnych lat centrum wypoczynkowym i towarzyskim polskiego środowiska dziennikarskiego. Patronował budowie

ośrodka wypoczynkowego w Kazimierzu ówczesny prezes Zarządu Głównego RSW „Prasa”, Mieczysław Zawadzka, i z tego powodu zaglądał też często do Lublina. W pierwszym okresie Dom Dziennikarza był wspomagany administracyjnie przez Lubelskie Wydawnictwo Prasowe; i notabene właśnie z lubelskiej administracji wywodził się pierwszy kierownik Ośrodka Wypoczynkowego w Kazimierzu.

Z kolei do najbardziej satysfakcjonujących go inicjatyw z okresu kierowania Lubelskim Wydawnictwem Prasowym zalicza Tadeusz Gwardak zrealizowanie pomysłu dostarczenia lubelskiemu czytelnikowi możliwie najbardziej aktualnej prasy warszawskiej. W porozumieniu z dyrekcją Wydawnictwa Warszawskiego RSW Lublin uruchomiła wówczas specjalny transport „Trybuny Ludu” i „Zycia Warszawy”, tak aby stołeczna prasa znajdowała się tutaj w kioskach wczesnym rankiem, razem ze „Sztandarem Ludu”. Transport odbywał się specjalnymi samochodami, a maszyny drukujące edycje dla Lublina ruszały jeszcze przed północą; edycje „Trybuny” i „Zycia” dla samej stolicy rozpoczynano drukować dopiero około 2-3 w nocy. Niestety, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ta idea została z jakichś przyczyn zarzucona i teraz, pod koniec lat osiemdziesiątych, jest tak, że Lublin, który otrzymywał przed laty warszawską prasę codzienną w tym czasie, co na przykład Żyrardów, dostaje tę samą „wcześniejszą” edycję wtedy, co położona sto kilometrów za nim dalej — Włodawa.

„Jest to jeden z przykładów — zyma się Gwardak — przerostu myślenia ekonomicznego nad sprawą aktualności gazety...” I zaraz dodaje jeszcze: „Na całym świecie, zarówno na Wschodzie jak i na Zachodzie, gazetę można kupić codziennie. A u nas przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia kupowaliśmy prasę codzienną na pięć dni. Bo taki stan rzeczy był

Są to fragmenty pamiętnika sprzedawczyni z kiosku „Ruchu”. Autorka obecnie jest na emeryturze, ale nadal pracuje w swoim zawodzie. (Red.)

15 lutego 1977 r. — wtorek.

Pracuję w tym kiosku już siedemnaście lat. Znam moich klientów i ich sprawy, ich upodobania, troski i kłopoty. Przeżywam z nimi, a oni ze mną, radości i smutki, jakie niesie życie. Często jestem wtajemniczana w skomplikowane sprawy, dyplomatycznie rozwiązuję różne problemy, dzięki mnie na przykład skłócone małżeństwo doszło do porozumienia. Lubię ludziom pomagać. Nie znaczy to, że jestem aniołem, często jestem zła i zdenerwowana, wybuchowa i płaczą bez powodu.

Piękną wiosną i lato oglądam przez szybę. Każdy idzie na spacer czy gdzieś jedzie samochodem — ja stałe w kiosku za szybą. Ale to nie, aby było zdrowie!

Lubię swoją pracę, mam tyle czasopism i gazet, one łączą mnie ze światem i są moją rozrywką. A książki? Nie bardzo mam czas je czytać, chyba tylko wówczas, kiedy jest mniej wzy ruch, a zdarza się to dopiero wieczorem.

Dzisiaj zimno i pada deszcz ze śniegiem. Muszę dzwonić po milicję. Mąż-pijak bije kobietę i bluźni. Na zwróceną mu uwagę jeszcze się odgraża. Nikt nie chce się wtrącić i bronić kobiety, każdy zajęty tylko swoimi sprawami. No, jest już radiowóz, pijak, niestety, uciekł, kobieta płacze i boi się iść do domu.

Przywożą „Kurier Lubelski”. Muszę położyć 180 egzemplarzy, które są składane podwójnie. To śmieszne, żeby w XX wieku ludzie musieli uzupełniać maszyny. Z tym jest dużo roboty, jestem wściekła. Nie mogę nadażyć z rozkładaniem gazet i obsługiwaniem klientów. Mam jeszcze w kiosku telefon, który muszę też podać na żądanie, pomimo że obok jest budka telefoniczna. Rozmowy są prowadzone bardzo głośno, to przeszkadza w liście.

Na przystanku stoi trzech niewidomych chłopców, mieszkają w pobliżu z książką, nie mogą patrzeć na jej niebezpieczeństwo. Jeden z nich urodził się niewidomy i nigdy nie widział ani matki, ani siostry — nie w ogóle, temu

jest źle, ale tamci dwaj utracili wzrok później.

Dzwoni telefon. Z biciem serca podejmuję słuchawkę. Boże! Co za szczęśliwa wiadomość: syn zdał egzamin z prawa rzymskiego.

Zamykam kiosk o godz. 20.10.

16 lutego 1977 r. — środa.

Już świta, wstaję godz. 4.50. O 5.15 mam autobus, muszę się bardzo śpieszyć, bo następny jest dopiero o 6.15. Biegnę szybko do przystanku. Pada duży śnieg, będę musiała odwalić go przed otworzeniem kiosku. Jestem zdenerwowana i niewyspana. Ciągły lęk, czy podołam, czy wytrzymam?

Przed kioskiem jest już samochód z prasą. Lubię czynność przyjmowania prasy i rozkładania jej do teczek. Trochę się wówczas uspokajam.

Przyszedł wczorajszy pijak z pogroźkami, że mnie „zalał” za to, iż telefonowałam na milicję. Zmieszał mnie z błotem. Dzień zaczęłam więc ukarać moralnie za winy nie popełnione.

Dzwoni syn, przygotowuje się do drugiego egzaminu. Materiał trzeba przerobić w skróconym terminie. Mąż chory. Nie mam żadnego wpływu na bieg wydarzeń, siedzę w kiosku jak manekin, w głowie klebią się tysiące myśli. Muszę wytrwać, muszę być silna, ale jak ciężko, tyle godzin!

Jem byle co, prawie wszystko suche i zimne, nie mam czasu na szykowanie dla siebie, jakaś kanapka z herbatą, ale tak żyć nie można. Jestem w ogóle poza nawiasem, ani obiadu, ani śniadania, byle jak, byle co, nieustanny pośpiech.

17 lutego 1977 r. — czwartek.

Przypomniałam sobie, jaką miałam przeprawę z prokuratorem. Ołóż mąż naszej pracownicy został aresztowany za brak na budowie materiałów na sumę 30 000 zł. Wszystkich wypuścili, ale

jego zatrzymali dla przykładu. Żona prosiła, żeby go wypuszczono za kaucję, bo jest chora, ma dwóch synów, z którymi nie może sobie poradzić, a przy tym jedna pensja nie wystarcza. Prokurator, który prowadził dochodzenie, zgodził się na jej prośbę, ale jego szef sprzeciwił się kategorycznie. Zrozpaczona koleżanka przybiegła do mnie z prośbą o pomoc. Postanowiłam jej pomóc za wszelką cenę. Biedne to, takie młode, mizerne, i taki kłopot. Idę do prokuratury, ale sekretarka mi mówi, że szef nie przyjmuje, a tylko jego zastępca. Myślę sobie: kto się sprzeciwił, niech się zgodzi. Ale jak się dostać do niego? Usiadłam w sekretariacie i czekam, że to niby na zastępcę, patrzę, co będzie.

Naraz sekretarka wyszła z pokoju, a ja zapukałam do drzwi i otworzyłam je. Od progu mroził mnie spojrzenie. Nie tracę głowy, wyciągam rękę, chcę się przedstawić, kim jestem i w jakiej przyszłam sprawie. Dłoń moja zawisa w próżni, nikt nie wyciąga do mnie ręki, ani nie prosi, żebym usiadła. Speszona mocno, drugi raz powtarzam swoje nazwisko, wreszcie prokurator podaje mi dwa palce do uściśnięcia. Szybko wytłuszczam sprawę.

Ogromne zdziwienie na twarzy i pytanie: „Kto panią tu wpuścił, ja jestem zajęty i nie przyjmuję nikogo. Zaraz zapytam sekretarkę, dlaczego pani tu weszła?” Mówię prawdę: „Pan jeden jest w stanie pomóc tej rodzinie, pan się sprzeciwił i pan tylko może cofnąć swoją decyzję”.

Opowiadałam o nieszczyśliwej kobiecie, o kaucji, o tym, że rada oddziałowa poręczy za tego nieszczyśnika, że złożyliśmy się wszyscy na te 30 000 zł, niech się zgodzi i ulituje, uratuje przez to rodzinę. „Gdybym chciał pani służyć, to bym musiał wypuścić na tej zasadzie pół Lublina, człowiek ten musi być ukarany, bo mienie państwowe

Zza szyby kiosku „Ruchu”

Anna Berger

powinno być należycie zabezpieczone. Proszę wyjść, dalsza dyskusja jest zbędna”.

Otworzył mi drzwi bardzo szeroko. Chciałam jeszcze prosić, coś tłumaczyć, ale nikt mnie nie słuchał. Poczułam się jak obity pies, wypędzony za drzwi. Ale ta poniżająca porażka wyzwoliła we mnie jakiś niespodziewany wpływ energii. Otwieram ponownie drzwi i pytam: „Jeszcze chwileczkę, pan pozwoli, czy czytał pan książkę Wiktora Hugo »Nędznicy«? Spojrzał na mnie jak na wariatkę. »Czytałem. To tylko wymysł literacki«. »Nieprawda — wrzasnęłam — to samo życie, to właśnie jest głęboki sens, jak z galernika zrobiono porządnego człowieka, ale pan jest zimny, obojętny paragraf, pana nie stać na wielki, wspaniałomyślny gest”.

Oburzona i zdenerwowana wyleciałam z gabinetu jak z procy. Ledwie dopadłam schodów, a już sekretarka woła mnie, abym natychmiast wróciła. „Aresztuj mnie” — to była pierwsza, głupia myśl. Z bijącym sercem wracam z powrotem. Staję koło drzwi. To, co się zdarzyło za chwilę, wprowadziło mnie w zdumienie.

„Proszę, niech pani usiadzie, nie ma pani racji, nie jestem wcale zimny i obojętny, jak to pani określiła, ale są pewne przepisy, które mnie obowiązują”. „A za 30 000 kaucji to się wypuszcza?” — wypaliłam, bo akurat znalazłam taki przypadek, i nagadałam jeszcze bardzo dużo, gdyż poczułam się trochę pewniejsza. „Proszę pióro, papier, i proszę na piśmie podać dokładne dane personalne i kim jest ten człowiek dla pani”. „Nie znam tego człowieka, nigdy go nie widziałam na oczy, chcę ratować jego rodzinę, jego biedną siostrę”. „Dobrze, proszę wszystko opisać”. Napisałam. Po dwóch tygodniach stał wypuszczony. Wygrałam! Poruszy-

wynikiem układu dni świątecznych, wolnej soboty i niedzieli. A ja dobrze pamiętam — bo sam w tym uczestniczyłem jeszcze jako dziennikarz — 360, a może nawet 361 numerów „Trybuny Ludu” w ciągu roku. W roku 1963 czy 1964 po raz pierwszy nie ukazał się „Sztandar Ludu” w dzień Nowego Roku, i tak się zaczęło. Ale jeszcze trzy czy cztery lata temu szereg dzienników w kraju ukazywało się — niezależnie od rodzaju święta — na 1 Maja, w Boże Ciało, 22 Lipca i we Wszystkich Świętych... Trzeba dalszych przykładów? W połowie lat sześćdziesiątych, aby stworzyć możliwość oddawania gazety do rąk czytelnika codziennie, zamiast sobotniego wydania „Kuriera Lubelskiego” zdecydowaliśmy się na jego niedzielne wydanie. I tak było do roku 1980. Ale prawdopodobnie taki stan rzeczy przestał się podobać i drukarzom, i dziennikarzom. Tak że teraz w niedzielę gazety nie ma... Niestety, u nas w Polsce — ciągnie Gwardak — często zbyt łatwo przystaje się na to, co jest w interesie wąskich grup zawodowych, a nie — w interesie całego społeczeństwa. I można ten problem widzieć szerzej: nie tylko w aspekcie „niedzielnej” prasy, ale i w wielu innych, poczynając choćby od spraw handlu...”

Koniec naszej rozmowy przebiegał w nastroju raczej ogólnoreflexyjnym. „Odszedłem z dyrektorowania — mówił Gwardak — bo zawsze chciałem wrócić do dziennikarstwa. Już późniejsza praca na kierowniczych stanowiskach w Centralnej Agencji Fotograficznej i Krajowej Agencji Wydawniczej była swoistą formą powrotu do zawodu dziennikarza. A ostatecznym spełnieniem tego celu była moja praca w „Kamieniu”...”

Przyjmujemy to — zespół redakcyjny — nie tylko jako stwierdzenie kurtuazyjne.

Słuchał i notował: M. D.

lam w duszy prokuratora czułą strunę...

No teraz to jest tragedia. Wylądowali światło na trzy dni od 5.00 do 16.00. Jak wytrzymam w takim zimnie bez porządnego ogrzewania (piecyk elektryczny) przy stałym otwartym okienku! Grypa szaleje, Mąż chory, syn wyjechał do Kazimierza odpocząć. Zmarzłam na kość, nie mogę się doczekać wieczora.

Niestety, jest już 20.30, autobus odszedł, muszę przejść około 800 metrów do pętli trolejbusowej. Cały ten odcinek biegnę od latarni do latarni, robię sobie taki sport, potrafię już przebiec około 100 metrów i nie zmęczyć się zbytnio, zawsze trenuję. Kiedy muszę iść piechotą, osiągam coraz lepsze wyniki. Zapóźnieni przechodnie, mijając mnie, patrzą jak na wariatkę, czasami doleci do mnie strzępek dalekich słów. „Ale ta babka to jeszcze ma kondycję”.

Nie mogę się pogodzić, że jestem stara, duchowo to jestem bardzo młoda, nie lubię rozmawiać o chorobach, lubię młodzież i jej sprawy. Dobrze się czuję ze swoją 16-letnią wnuczką Beatą. Ona to właśnie kazala mi skakać na skakance 100 razy dziennie, zaczynałam od 10 razy i tak stopniowo, coraz więcej.

Strasznie śmieszna była sytuacja w szkole, kiedy młode dziewczęta rozmawiały o swoich babkach. „Moja babcia pięknie robi na drutach”, „Moja świetnie piecze”, „Moja opowiada różne dzieje z dawnych czasów” — chwaliły się jedna przed drugą, a każda po kolei wylizwała zalety swojej babci. Wreszcie moja wnuczka, Beata, też nie chciała być gorsza i wypaliła: „A moja babcia to jest zawsze młoda i skacze na skakance 100 razy”. Oczywiście, że wzięły to za żart. Ale potem cała klasa mnie odwiedziła i musiałam zademonstrować swoje „niezwykłe” umiejętności. Dziewczęta nie mogły wyjść z podziwu.

Jak mam tylko trochę czasu i jest mniejszy ruch w kiosku, to zaraz piszę, a bardzo lubię rozpamiętywać różne sprawy i wyciągać wnioski na przyszłość. Ale teraz nie się nie dzieje szczególnego, podaję żądane artykuły, przyjmuję prasę, wkładam pisma do teczek, dzwonię do pogotowia, po gaz, do kliniki zwierząt, do przychodni rejonowej, wysłuchuję różnych zwierzeń, lecz na moją głowę gromy, że nie ma pisma, że nie ma czarnej pasty do butów, że brakuje kremu Nivea, że mało zabawkę, że mało wód kwiatowych itp., itd.

Okolice sztuki

Sprawy życia sprawy śmierci

9 MAJA, po kilku dniach zimnych i pochmurnych, nagle, około godziny 11, wyjrzało słońce nad Lublinem, ostro rysując kontury baraków, biegnących rytmicznym szeregiem wzdłuż ładnie rozbielonej żwirowej alejki, i dodając zieleni rozkolywanej wokół trawie. Drewniane wieżyczki na wysokich słupach, wyrastające z miękkiej ląki, wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego, przypominały jakieś zabytki drewnianego budownictwa ludowego, całkiem ładnie wkomponowane w krajobraz.

Tak przedstawił mi się Majdanek 9 maja, co stwierdzam z zakłopotaniem, ale zgodnie z prawdą. Może czułbym się tam inaczej, gdyby nie to ciepłe, upragnione słońce.

Wtedy właśnie, w poobozowym baraku, otwarto VII Ogólnopolską Wystawę Malarstwa, Rzeźby i Medalierstwa „Przeciw Wojnie”, udostępniając publiczności 138 prac 78 autorów.

Wystawa ma charakter konkursu, wspomnijmy zatem, że I nagrodę w dziedzinie malarstwa otrzymał lublinianin Ryszard Lis, za tryptyk „Ekshumowany”. Jest to obraz wabiący swoją bogatą tkanką materiałną, wysmakowany kolorystycznie, zbudowany z różnorodnego tworzywa, a przez to urozmaicony fakturalnie i sugestywny pod względem wizualnym. W centralnej jego partii rysuje się cień postaci ludzkiej, obok i na skrzydłach farba zamienia się w symbole i trudne do rozszyfrowania pismo, które być może coś znaczy, a może tylko utrzymane jest w konwencji formalnej rozpaczyliwych epitafiów, jakie kreśliłi sobie samym więźniowie obozów koncentracyjnych: na murach, na deskach baraków. Ten „zapomniany język” pełnił przecież w obrazie przynajmniej jedną, całkiem dla mnie zrozumiałą funkcję: rozjaśniał się, komplikował i rozluźniał „grafologicznie” wedle naturalnej dyrektywy, która rzadziła całością kompozycji. Pomyślałem sobie jednak, że ten logicznie zbudowany obraz wyglądałby jeszcze ciekawiej, gdyby dyskretnie oświetlono go z boku, strumieniem w kolorze słońca. Rozpaliby się wtedy pięknie materia tryptyku, wszak i teraz piękna.

II nagrodę w tym dziale otrzymał Lech Okołów z Warszawy, artysta reprezentujący swe prace na licznych i wielce różnorodnych wystawach, jak Polska duża i szeroka. Jeszcze raz przyszło mi poklonić głowę nad sprawnością i konsekwencją, z jakimi autor uhonorowanego na Majdanku „Odbicia lustrzanego” realizuje swoją formułę obrazowania, którą zredagował przed wielu laty. Okołów jest niewątpliwie mistrzem malarstwa dekoracyjnego, nie stroniącym przecież od przekazywania ogólniejszych treści, jako to zagrożenie człowieka przez cywilizację techniczną. W takiej właśnie intencji upodabnia postaci do mechanizmów — grozę tej transformacji potęgując czasami na sposób militarny, przez uzbrojenie homunkulusów, jak to zresztą widzimy we wspomnianym „Odbiciu”, które zgodnie z nazwą przedstawia dwie niemal identyczne, walczące z sobą formacje człokopodobnego żelastwa. Mamy do czynienia z obrazem dobrze skonstruowanych, wręcz nakłaniających do śledzenia gry piktoralnej, opartej na zasadzie replikowania form i kolorów.

III nagroda za malarstwo przypadła Piotrowi Kmiecicowi z Naleczowa, który na wystawie „Przeciw Wojnie” przysłał tryptyk „Sciana placzu” z cyklu „Czarnostany”. Jest to kolaż, zatem kompozycja złożona z różnych materiałów: płótna, sznurka i fragmentu konaru. Ale taki opis trywializuje strukturę Kmiecicia, będąca w istocie dziełem ogromnej wrażliwości plastycznej i oryginalnej wyobraźni, nie mówiąc już o zręcznej dłoni autora, który cieniutkim pędzikiem (tzw. zerówką) dniami, tygodniami i miesiącami pokrywał poszczególne części tryptyku delikatnymi, lekko rozedrganymi liniami i siatkami, w trosce o walorowe i przestrzenne różnicowanie powierzchni kompozycji — by zaakcentować jej centrum drewnianym znakiem: człowieka? zwiokrotnionego krzyża? Zapewne jest w tej pracy sens głębszy, możliwy do odczytania bez podpierania się karkołomną interpretacją filozoficzno-etyczną, ale cóż ja poradzę na to, że „Sciana placzu” przyciąga mnie głównie swoją formalną elegancją, wirtuozerią warsztatową, estetyczną urodą?! Ciekaw przy tym jestem, jak rozumieją (tak właśnie!)

twórczość Kmiecicia bracia Węgrzy, którzy zaprosili go właśnie z wystawą.

Wyróżniono w tym dziale Ryszarda Kustrzyńskiego z Tomaszowa Mazowieckiego, autora pracy w technice mieszanej „Znaleźisko nr 4. Ostatnia debata”, oraz Olę, Lucynę i Walentego Wróblewskich z Lublina, którzy pokazali „Tryptyk poświęcony rodzinie poległej — ślady życia, ślady śmierci”, obraz żywy pod względem malarskim i mimo pewnych znaków martyrologicznych jakoś nie wzbudzający smutnych refleksji. Podobało mi się to malowidło.

Kustrzyński — ten autor miał pomysł, może nie pozbawiony precedensów, ale przecież obiecujący niebanalne rezultaty. Otóż wystawił on coś w rodzaju uwspółcześnionej wersji „Ostatniej wieczerzy” Leonarda, malując „za stołem” postaci ideologów, przywódców politycznych i duchowych dzisiejszego świata — w scenarii odpadających tynków, w formule podnieszonego przez czas dokumentu. Gdyby jeszcze wpisał to wszystko w ramy wielkiego malowidła, nie ograniczając się, co właśnie uczynił, do obrazu skromnych rozmiarach...

I nagrodę w dziale rzeźby i medalierstwa przyznano Józefowi Lukomskiemu z Warszawy, autorowi tryptyku „Pro memoria”, okraszonym przez usztywnione, puste w środku ubrania po ludziach.

II nagrodę otrzymał Andrzej Soltys z Sędziszowa, autor „Ballady o wojnie”, czyli drewnianego, na czarno pomalowanego popiersia z „medaliami” — autentycznymi fotografiami nagrobkami na porcelanie. Zastanawiałem się, jakim cudem, będąc o krok od kiczu, Soltys wyprowadził swą pracę w rejony sztuki.

III nagrodą uhonorowano tu Marię Siute-Górecką z Lublina, która pokazała medale: pięknie ukształtowane, nie pozbawione dramatycznych odniesień do idei całej wystawy.

Ponadto wyróżniono medale Krzysztofa Nitscha z Krakowa (m.in. oryginalny liść w patynowanym brązie, oznaczony stosownymi symbolami)...

Sztuka jest sprawą życia i tylko w trwodze, bólu i żalu wprowadzamy ją tam, gdzie okazuje się być bezradną w rejonie śmierci.

Prawie dokładnie w momencie otwierania wystawy na Majdanku, pod Warszawą doszło do katastrofy lotniczej, która wstrząsnęła Polską. W miejscu tego nieszczęścia stanie zapewne pomnik, który, choćby był najlepszy, w żadnej mierze nie odda tragedii z 9 maja. Więc po co to robić?

Bo jesteśmy ludźmi, to wszystko.

IJK

Zderzenia

A kto nam pomoże?

INFORMACJA Z PRASY: „W Nairobi odbyła się sesja Habitat, agendy ONZ zajmującej się sprawami mieszkaniowymi. Podano tam, że 1 mld ludzi na całym świecie mieszka w trudnych warunkach, a 100 mln jest pozbawionych własnego mieszkania. Przedstawiciel Polski zaproponował pomoc w rozwiązywaniu problemów mieszkaniowych”. Gdyby nie waga problemu i powaga forum, ogarnąłby nas śmiech pusty i trwoga. W Polsce jest około 2 mln rodzin oczekujących od lat na własne mieszkanie, nie mówiąc o borykających się bez większej nadziei w rodzimych slumsach, jak na przykład przy ulicy Podlaskiej i innych w Lublinie.

Kto nam z kolei pomoże, kiedy już sami nie radzimy?

Sposób na zawracanie głowy

DO NIEDAWNA MPK publikowało na przystankach swoich linii minutowe rozkła-

dy jazdy autobusów i trolejbusów. Pasażer zwił nadzieję na jako tako punktualne przybycie swojego „numeru”, albo wściekał się i dzwonił do dyrekcji z zapytaniem, dlaczego na przykład „13-ka” nie zjawiła się o 8.37? MPK miało widać z tego powodu niezłe zawracanie głowy, bo oto wywiesiło nowe, enigmatyczne rozkłady jazdy. I tak autobus linii „11” kursuje w „szczyt” co 13 minut, po „szczytowaniu” co 22 minuty, a w dni świąteczne co 45 minut. Podobnie wszystkie inne pojazdy MPK. Nic więc nie pozostaje, jak stać, czekać i stoperować czas przybycia. Albo brać relikwium, bo i tak — z rozkładem czy bez — jak mówią zdenerwowani, milotający się po przystankach pasażerowie — „jeżdżą jak chcą”.

Kącik wspomnień

NASZA STALA czytelniczka, pani Aniela Wrzeszcz z Bialegoostoku — rodowita zresztą lublinianka — tak oto wspomina w liście umundurowanie uczennic lubelskich szkół: „Każdą szkołę żeńską miała swoje indywidualne mundury w różnych kolorach, i tak np. na Podwalu „Kanonicki” brązowe, u Czarnieckiej — bordowe, Sobolewskiej — fioletowe, u Kunickiego o kierunku handlowym — zielone, „Urszulanki” — granatowe z marynarskimi kołnierkami i na piersiach w wianusku wyhaftowana litera „U”. U Arceizowej również granatowe mundury z amarantową kokardą i państwową „Unią” granatową, ale już bez dodatków. Po roku 1935 nastąpiła reforma szkolnictwa i już były mundurki znormalizowane dla wszystkich szkół. W takich okolicznościach z daleka spozostregano ucznia. Nie piszę tu o szkołach męskich i zawodowych, gdzie ich szaty były bardziej jednolite, ale różniły się nakryciem głowy”.

Westchnąć i zapomnieć

GLUSK, MAJOWA WOLNA SOBOTA, godzina 17 z minutami. Sławna niegdyś Głusowska restauracja — od której to zapewne Głusk wziął przydomek „portowego młasta”, jako że nie sposób było tu nie „zawiać” — z zimnymi zakąskami barowymi mogła jedynie w ten dzień, a właściwie popołudnie, zaferować coś kurczako-podobnego, zeschłą kurzą podgardlaną i trzy plasterki żółtego sera pod piwo „Leżajska”. Była też i „czysta” — oczywiście, pod uśmiech wójta, czegoś jednak cichcem pomiędzy butelki „Leżajska” wstawiana. Na „zab” oferowano jeszcze suche herbatniki i coś tam jeszcze w papierze. Z wystroju zaś lokalu — betonowa, zarzucona petami posadzka, piłkacki gwar i dym. Jak to przy wolnej sobocie, po robocie.

„Sztandar Ludu” w rajdzie po wiejskiej gastronomii wspominał onegdaj, jak to w Szeckarzu w Głusku (mistrza sztuki kulinarnej) można było kiedyś — zapewne w tych czasach „portowych” — zjeść smacznie i zdrowo polewkę w śmietanie albo i co lepsze — perki w śmietanie. Nic, tylko westchnąć... zapomnieć.

(dey)

Korzenie, więzi i powroty

kim się więc pożenią urzędowscy ka-

Dokończenie ze str. 1

Alojzy Hevelke, potomek słynnego gdańskiego astronoma, Jana Heveliusza. W Urzędowie mieszka żona doktora pani Halina, i jej córka Maria. W nieodległym Tarnobrzegu — syn, dr Aleksander Hevelke, zastępca dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego; w Gdańsku zaś druga jego siostra, Jadwiga, i brat Jerzy Rok 1987 UNESCO, ogłosiło Rokiem Heveliusza. Pani Halina Hevelke troskliwie chroni rodowy sygnet z inicjałami JH. Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej zapowiada na jesień okolicznościową sesję. Może przybędą i inni, nieznanzi Hevelkowie?

Lewa pierzeja rynku, patrząc od lubelskiej drogi, chowa się w ciepłym, południowym cieniu. Biały dom Henryka Chudzińskiego ma być podobno rozbrany. A tam, w podziemiach gotyckie kamienne sklepienie!

Do rozbiórki pójdzie na pewno chałupa Józefa Gozdalskiego, dziadka pani Zofii Ciosmak, z domu Pomykałkiewicz, siostry rodzonej pani Haliny Hevelkiewicz. Chałupa jest taka sama — zrębowa z podcieniami i z wrytą na ścianie datą 1792 — jak chałupa Nikodema Gozdalskiego z Rankowskiego Przedmieścia, która znalazła się w lubelskim skansenie.

Piotr Pomykałski, ojciec pani Zofii, był jednym z pierwszych organizatorów POW na Lubelszczyźnie. Przeszłoroczna sesja Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej właśnie jemu będzie poświęcona. Pani Zofia ma unikatowe wręcz zdjęcia i dokumenty z tamtego czasu.

W przedsionku parafialnego kościoła w Urzędowie staranny wypis z dziejów tej miejscowości, dawnego miasta, po którym pięć przedmieść pozostało, wzniesionych wzdłuż rzeki i wznieść, rynek większy od warszawskiego, nazwy ulic, i mimo wszystko pewien miejski styl.

W 1405 roku król Władysław Jagiełło nadał Urzędowowi prawa miejskie, magdeburskie. Do 1536 roku spierała się tutaj i debatowała szlachta lubelska na swoich sejmikach. Tutaj

była siedziba powiatu i starostwa nie-grodowego z rezydencją na zamku w Dzierzkowicach. Represje po Powstaniu Styczniowym pozbawiły Urzędów praw miejskich.

Zawsze mieszkańcy osady byli pracownicy, waleczni, gnali ich coś do wiedzy. Marcin z Urzędowa, Józef syn Tomasza, Walenty syn Jakuba — to XVI-wieczni profesorowie Akademii Krakowskiej; Jan Michałowicz z Urzędowa — rzeźbiarz i architekt epoki renesansu. (Kiedy ze ściany lubelskiej kamienicy na rynku Starego Miasta „zniknęło” bez widomych szans powrotu popiersie Jana, Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej upomniało się o swojego rodaka. Nie będzie się on już krył po sieniach przy ulicy Grodzkiej, wrócił tam, gdzie go godnie wystawiono: na lubelski rynek). Z Urzędowa pochodził też Leon Ulrich — XIX-wieczny tłumacz wszystkich komedii Arystofanesa, „Żywotów sławnych mężów” Plutarcha, syn miejscowego poezmistrza, zmarły w Bordeaux.

W kościelnej sieni — galeria urzędowskich sławnych mężów. Miasto wydało niegdyś 70 kapłanów, w tym znanego biskupa — Zdzisława Golińskiego, ordynariusza częstochowskiego; wielu kanoników stąd się wywiodło, proboszczów miejscowych, zakonników.

W 1984 roku (nie bez inicjatywy Gminnego Ośrodka Kultury) zawiązało się Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej. Wśród 214 członków jest wielu pracowników naukowych, znanych profesorów polskich wyższych uczelni, instytutów, klinik, m.in. prof. Zygmunt Drzymala, prof. Zygmunt Surdaeki, prof. Jan Pokora, prof. dr Ignacy Wośko — prezes Towarzystwa, prof. Cezary Zurawski, prof. Kazimierz Piotroń. Jest też wielu wysokich rangą oficerów WP, są urzędowiaczy — posłowie na Sejm z Ziemi Krakowskiej i Szczecińskiej.

Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej uruchomiło cztery sekcje — historyczną, społeczno-gospodarczą, ochrony zdrowia i środowiska oraz rolną. Ma na swoim koncie dwie udane sesje naukowe na temat dziejów 580-letniego Urzędowa i jego wojennych losów w latach 1939-1944.

9-10 maja br. stał się kolejnym świętem urzędowskich regionalistów. Zjechali tutaj wychowankowie byłego Gimnazjum Urzędowskiego, istniejącego w latach 1945-1954. Sesja dedykowana została dziejom oświaty urzędowskiej, a materiały z niej zostaną opublikowane w „Głosie Urzędowa” — pierwszej jednodniowce, która ukazuje się w nakładzie dwóch tys. egzemplarzy.

Dyrektor GOK-u, Tomasz Wyka, pokazuje mi makietę ze zdjęciami. Jest na niej wspomniana chałupa Józefa Gozdalskiego i inne zdjęcia — plon ubiegłorocznego pleneru fotograficznego.

Z szerszej działalności odnotowuję jeszcze I Tydzień Kultury Zdrowotnej, zakończony „Białą Niedzielą”. W tym roku dołączy Tydzień Kultury Rolnej.

A co w kulturze urzędowskiej poza tym? Zespoły młodzieżowe — recytatorski, małych form teatralnych, form poetycznych — przygotowujących najmłodszych do obcowania z kulturą. Jest Klub Seniora, ćwiczy orkiestra dęta OSP, a ostatnio Zespół Śpiewaczy z Bobów Książęcych. Oczywiście to tylko niektóre z propozycji GOK-u. Z ankiety niedawno przeprowadzonej dowiaduje się, że na 200 ankietowanych z gminy Urzędów 40 procent jako sposób na spędzenie wolnego czasu wybrało sport, turystykę wyjazdową — 32 procent, działalność kulturalno-oświatową — 20 procent. Na pytanie: „Kto twoim zdaniem ma największy wpływ na wychowanie młodzieży” — ankietowani dali odpowiedź w układzie tradycyjnym: rodzina — szkoła, kościół, organizacja społeczna.

Leszek Zychowicz, przewodniczący Zarządu Gminnego ZSMP, informuje mnie, iż urzędowska organizacja liczy 300 członków, w tym 100 pracujących na roli. Działający przy ZG ZSMP Klub Młodego Rolnika, jak może, tak pomaga młodym gospodarzom w zakupie sprzętu i środków produkcji rolnej. Są też i inne problemy, chociażby z dziewczynami, których w urzędowskiej gminie mało. Z

Trochę później spolykam w bibliotece Józefa Barana, przewodniczącego ZG ZMW i szefa kabaretu „Krent”. Też ma problem. Kabaret składa się z czterech chłopaków, gitary i pary czerwonych gumowych butów, niezłych tekstów i chęci do działania. W ubiegłym roku kabaret dał 23 występy, teraz poszukuje sponsora.

Józef jest trochę zmęczony, przybiegli do „firmy” po porannym opryskiwaniu buraków. Może dlatego los swego zespołu widzi pod górkę? GOK ma dużą salę widowiskową, brak mu jednak świetlicy z dobrym sprzętem audiowizualnym. Dolegliwość wielu tego rodzaju placówek. Tradycje obiektu sięgają 1905 roku, pracującej tu biblioteki — 1928.

I znów wypis z ankiety. „Kto z wymienionych stanowi dla Ciebie wzór?” 35 procent wybrało papieża, 21 procent generała Jaruzelskiego, po 6 procent dano na Gorbaczowa i Reagana, po 7 procent na red. Zielińską i ministra Urbana, a na miejscowego proboszcza ks. Aleksandra Bacę 8 procent.

Po drodze spotykam naczelnika gminy, Jana Woźniaka. Prowadzi mnie na obronę niegdyś wały. Po przejściu Tatarów przez Urzędów miasto trzeba było odbudować, obwarować, postawić parkan i trzy bramy — Lubelską, Krakowską i Opolską. Przed 1 maja 1987 roku wały zostały uprzątnięte, trawa elegancko wyczesana ze śmieci. Aż się prosi, by wytyczyć tu spacerowy szlak. Tak też myśli i naczelnik. W swojej siedzibie charakteryzuje gminę i jej problemy, które rozkładają się równomiernie na 12 tys. ha powierzchni (119 km kw.), 22 sołectwa, około 10 tys. mieszkańców, samego zaś Urzędowa z przedmieściami około 5 tysięcy.

Gmina jest wybitnie rolnicza, ma tradycje ruchu spółdzielczego, rzemiosła, oporu w czasie powstań i obu wojen. Jest pracowita, chętna społecznym czynom. Niegdyś warzywnictwo, obecnie plantacje malin, porzeczek i sady przynoszą sławę urzędowskim rolnikom. Brak jednak takich rzemiosł jak kowalstwo, stolarstwo. Pilnego polepszenia oczekuje baza handlowa i baza dla systemu łączności pocztowo-telekomunikacyjnej. Buduje się już apteka, ruszy budowa przedszkola — w czynie społecznym — trzech remiz, sklepów dla OSP. No, a drogi? Ich budowa ograniczona jest brakiem wykonawcy. „Naczelnicy gmin — mów

Zafascynowany Cohenem

MACIEJA Zembatego znaleźliśmy już jako wykonawcę kabaretowego, autora radiowego serialu satyrycznego „Rodzina Poszepyszyńskich”, inicjatora i prowadzącego audycję „Zgrzyz”, a także gorącego zwolennika czarnego humoru. Prawdziwy rozgłos i uznanie szerokiego audytorium przyniosły mu jednak dopiero ballady kanadyjskiego poety i pieśniarza z kręgu folk ballady — Leonarda Cohena. Utwory te tłumaczy Zembaty z wielkim zapalem od kilkunastu lat.

Fascynacja twórczością Cohena zaczęła się u Zembatego dość dawno. Mało kto wiedział u nas o istnieniu Cohena. Pierwsza płyta artysty z roku 1965 zrobiła na Zembatym ogromne wrażenie. Słuchał jej i kilku następnych, kontemlował zawarte na nich treści, prezentował w gronie przyjaciół. Nie przypuszczał jednak, że zajmie się kiedyś tłumaczeniem tych wierszy na polski oraz że popularność poety stanie się tak powszechna.

Tłumaczeniem zajął się Zembaty niejako przypadkiem. Kiedyś przeczytał w czasopiśmie kulturalno-społecznym przekłady kilku utworów Cohena, dokonane przez znaną osobistość literacką. Nie miały one nic wspólnego z duchem cohenowskich wierszy, co ogromnie wzburzyło pasjonata i skłoniło do samodzielnego mocowania się z materiałem słownym. Pierwsze, początkowo oporne próby weszły mu z czasem w krew. Pozostał wierny tej poezji do dzisiaj. Wraz z innym pasjonatem twórczości wielkiego ducha Kanadyjczyka — Maciejem Karpińskim — przełożył kilkadziesiąt ballad, przygotował scenariusz widowiska teatralnego poświęconego Cohenowi, zainspirował Ogólnopolski Festiwal Ballad L. Cohena, a nawet nagrał płyty.

W przekonaniu znawców i krytyków literackich Cohen to postać niezwykła, fascynująca, godna wznania. Jego uniwersalna poezja przyciąga jak magnes ludzi nieszczęśliwych, zawiedzionych, usi-

lujących odnaleźć w niej swoje własne odbicie. Spełnia więc po części rolę kojącej rozterki i frustracji. Bohaterowie wierszy Cohena mają rozdręganą duszę. Zmagają się nieustannie z przygnębiającym poczuciem pustki. Ich wrażliwość, wystawiona na ciosy tajemniczych wrógów i zwykłych ignorantów, ulega jednak procesowi doskonalenia się. Proces ten trwa ciągle, narasta, lecz nie czyni zagubionych w życiu bohaterów szczęśliwymi...

Wizyta twórcy i śpiewaka w Polsce, która po wielu staraniach Pagartu doszła do skutku w początkach 1985 roku, umożliwiła spotkanie tłumaczy z idolem. Cohen był ponoć mocno zaskoczony istnieniem tak wielkiej grupy polskich entuzjastów i tak dobrą znajomością własnych ballad. Zaprzyjaźnił się z Zembatym i Karpińskim, wyraził zgodę na swobodne umieszczanie ballad na płytach bez konieczności uiszczania tantiem, a także obiecał powrócić kiedyś do Polski.

Cohen okazał się, jak twierdzi Maciej Zembaty, taki sam, jakim można go zobaczyć w wierszach — człowiekiem o niezwykle wyobraźni, rzadko spotykanej wrażliwości i pokorze. Zaskakiwał słuchaczy, przypadkowych rozmówców i indagujących go dziennikarzy spokojem ducha, bezpośredniością i sposobem wyrażania przeżyć i emocji.

Znakomicie przyjęta trasa koncertowa przyspieszyła edycję od dawna przygotowywanych płyt. Za sprawą Zembatego ukazał się najpierw album z wcześniejszymi balladami poety, następnie dwie kasety magnetofonowe i longplay „Alleluja” z najnowszymi, nieco odmiennymi w nastroju utworami Kanadyjczyka. To ostatnie wydawnictwo „Pro-nitu” cieszy się wprost nieprawdopodobnym powodzeniem u fanów w różnym wieku.

Popularności ballad Leonarda Cohena, tłumaczonych coraz chętniej przez różnych ludzi, należałoby upatrywać w miłośności treści utworów popularnych z radia i telewizji wykonawców, pustki i szarzyńnię naszej rozrywki. Na tym tle refleksyjna poezja śpiewana Cohena jawi się źródłem



Fot. Tadeusz Żaczek

wielu wzruszeń. Zembaty jak rzadko kto potrafi przybliżyć odbiorcy myśli i wrażenia genialnego autora. Dziś jest on nie tylko zapalonym tłumaczem dzieł wielkiego Leonarda, ale i zdolnym śpiewakiem, nawiązującym łatwo kontakt z każdą widownią. Nie dziwi więc nikogo tłumy na kameralnych z założenia recitalach Macieja Zembatego, przekonywującego wrażliwych na poezję do światła wyobraźni Cohena.

Istvan Grabowski

DZIECI ZE STAREGO MIASTA

Fotografował Przemysław Ostrzyżek



Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) — Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego) Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego: Grzegorz Denys, Józef Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego) Ireneusz J. Kamiński (komentator) Redaktor techniczny — Ewa Dytbek korektor — Barbara Caban
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych zastrzega sobie prawo skrótów.
Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. "KWN" w Lublinie ul. Unicka 4.
Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW — Prasa — Kasa — „Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 8, tel. 255-30.
Adres redakcji 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/I
Telefony sekretariat redaktor naczelny z-ca redaktora naczelnego 255-93 sekretarz redakcji 218-93 dział publicystyki i literacki 273-33. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-958 Lublin skryjka pocztowa 231 obojętne i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 937 12.03.87 Z-4